

moja Lesznówola

miesięcznik mieszkańców gminy

ISSN 2451-2346 wrzesień 2018, nr 28



Gmina w obiektywie

Malarska niedziela nad stawem w Mysiadle.
Rodzinne plenerowe warsztaty plastyczne
z towarzyszeniem Zespołu Piosenki Biesiadnej Mrokowiacy.
Organizator – Gminny Ośrodek Kultury w Lesznowoli.



26



13



32



24



43

Spis treści

6 Od Redakcji

7 Opowieści niedokończone

...17 stycznia 1945 roku wybrałam się sama pieszo z Magdalenki do Warszawy

13 Nim obudzi się słońce

...uważam, że ludzie dużo tracą, kiedy wstają później

18 Pięć kroków

...z każdej wizyty wracałam coraz bardziej przygnębiona

24 Gramy dla Michałka

...całe zamieszanie to wielka akcja charytatywna

26 Na wszystko przyjdzie czas

...byłam najmłodszą, bardzo pilną i bardzo szczęśliwą uczennicą

32 Dokąd lecimy

...gdy na niebie zobaczycie Boeinga 787 z charakterystycznie skośnymi skrzydłami

38 Wrześniowy sad

...bramy do sadów państwa Smuniewskich są otwarte

43 Piekielny bieg

...w tym piekle było bardzo wesoło

46 Wspólne biesiadowanie

...to już stało się wspólną tradycją

48 Fasolka nadzwyczajna

...fachowo nazywana jest fasolą zwykłą



7



18



38



Od Redakcji

Ten numer „mojej Lesznowoli” wychodzi przed wyborami samorządowymi, dlatego pozwalam sobie na osobistą refleksję. Pewnie zauważyli Państwo, że nigdy nie pisałem o poglądach politycznych moich rozmówców. Nigdy też ich o to nie pytałem, choć wielu uważało za stosowne podkreślić, za jaką opcją polityczną się opowiadają lub powiedzieć mi, co myślą o aktualnie rządzących czy o opozycji.

Dlaczego o tym nie pisałem? Bo to dla mnie nie ma znaczenia. Lesznowola jest naszą gminą, a nie gminą partii politycznych, zarządzaną przez partyjnych nominatów. Każda nowa droga, boisko sportowe czy plac zabaw służą wszystkim i nie zawdzięczamy tego żadnej partii politycznej, tylko sprawnie działającemu samorządowi.

Odkąd zostawiłem Warszawę i zostałem mieszkańcem gminy, cenię to, że przez tyle lat nie rządzą tu żadne polityczne opcje i chciałbym, aby tak zostało. Dobro mieszkańców tak jak drogi, szkoły, place zabaw i boiska jest bezpartyjne.

Gmina jest naszą gminą. Każdy, kto tu mieszka, może powiedzieć: „Lesznowola to moja gmina”. Na jej wójta od kilku kadencji wybieramy osobę bezpartyjną, do której mamy zaufanie i źle na tym nie wychodzimy.

Maria Jolanta Batycka-Wąsik kandyduje na wójta także w tych wyborach i ja będę na nią głosował.

Co w tym numerze? Jak zwykle ludzie naszej gminy, których warto poznać. Rolnicze małżeństwo z Nowej Woli, pani dr inżynier z Magdalenki, dzielna mama małego Michałka z Osiedla Zielona Polana, pilot z Lesznowoli, sadownik z Woli Mrokowskiej. Na deser relacja z tradycyjnego pieczenia ziemniaka i z „piekielnego biegu”.

W naszej kuchni fasolka nadzwyczajna.

Milej lektury.

Redaktor naczelny
Andrzej Kwiatkowski



fot. z archiwum prywatnego
Heleny Słowikowskiej

moja Lesznowola
Miesięcznik Mieszkańców Gminy

REDAKTOR NACZELNY Andrzej Kwiatkowski
OPRACOWANIE GRAFICZNE, DTP Joanna Żuk
ZDJĘCIA Katarzyna Kwiatkowska
DRUK I OPRAWA MATRIX

WYDAWCA IMAGO, 05-506 Lesznowola, Władysławów, ul. Cicha 2
KONTAKT mojalesznowola@gmail.com, tel. 600 056 069



**...pochodzę z rodziny bankowców,
którzy byli jednymi z pierwszych
mieszkańców Magdalenki**

Spotykamy się w domu przy ulicy Pionierów. W latach dwudziestych powstawały tu pierwsze domy tych, którzy osiedlali się w Magdalence. Pani Helena urodziła się w 1926 roku. Jeszcze w ubiegłym roku dr inżynier Helena Słowikowska, z domu Wysocka, wygłaszała referat na temat diagnostyki urządzeń najwyższych napięć na konferencji Stowarzyszenia Energetyków Polskich, bo jej pasją była praca. Teraz zabiera się do pisania wspomnień. Trochę tych wspomnień poznaliśmy.

Ab ovo, czyli od początku

– Pochodzę z rodziny bankowców, którzy byli jednymi z pierwszych mieszkańców Magdalenki – opowiada pani Słowikowska. – Właściciel majątku Magdalenka,

Piotr Dmowski, chciał, by sprzedawane przez niego działki trafiły do grupy ludzi, których coś łączy i którzy są dobrze sytuowani, bo to w pewnym sensie gwarantowało wspólne działanie na rzecz przyszłego rozwoju osiedla. Taką grupę stanowili przedwojenni pracownicy banków.

Wśród czterdziestu pierwszych rodzin, które przed wojną nabyły działki w Magdalence, dominowali bankowcy. Ludzie ci tak bardzo chcieli działać na rzecz rozwoju Magdalenki, że natychmiast założyli Stowarzyszenie Miłośników Osiedla



Magdalenka. Pierwszym jego prezesem został pan Zygmunt Beer, jeden z dyrektorów Banku Handlowego. Określono wielkości działek, plan zabudowy, zaczęło się budowanie domów – murowanych i drewnianych. Powstawały działki pojedyncze, podwójne i potrójne, bo takie normy określono do sprzedaży.

Powstał dom stowarzyszenia i bita droga, brukowana kocimi łbami. Tuż przed wybuchem wojny w 1939 roku księżna Zofia Czetwertyńska z Raszyna obiecała, że jeśli będziemy elektryfikowali Magdalenkę, podaruje stowarzyszeniu potrzebne do pociągnięcia linii elektrycznej słupy. Taka to wtedy była atmosfera.

Moja rodzina mieszkała przedtem w Warszawie na tak zwanej Kolonii Staszica na Ochocie. Było to osiedle wybudowane w latach 1922–1926. Kolonia składa się z około stu willi z ogródkami oraz budynku wielopiętrowego przy ulicy Filtrowej 30. Mieszkaliśmy w domu pracowników banku, przy Filtrowej 68, bo mój ojciec był pracownikiem banku PKO. Dom ten stoi do dziś.

Gdy 1 sierpnia 1944 roku wybuchło powstanie warszawskie, w jego trakcie i po zakończeniu trwało masowe wysiedlanie mieszkańców. Niemcy wywozili ludzi do obozu przejściowego w Pruszkowie, a potem w głąb Rzeszy do obozów koncentracyjnych. Rodzice zostali wywiezieni na przymusowe roboty do Berlina. Dom w Magdalence, który miał charakter letniskowy, był wtedy w budowie.

Zamieszkaliśmy z dziadkami w tym domu, a potem dołączyła do nas dalsza rodzina. Między innymi ciotka Stanisława, żona pułkownika Stefana Majewskiego, który 24 sierpnia 1939 roku jako dowódca Batalionu Doświadczalnego z jedenastym dywizjonem pancernym wyruszył na wojnę z Niemcami...

Dziewczyna od Szachtmajerki

– Uczyłam się w szkole Wandy Szachtmajerowej. Szkoła mieściła się na Ochocie przy ulicy Białobrzeskiej,

a kamień węgielny pod jej budowę wmurował marszałek Józef Piłsudski. Pani Szachtmajerowa była pedagogiem, nauczycielką, założycielką i przełożoną Szkół Fundacji im. Wandy z Posseltów Szachtmajerowej. W szkole była prywatna pensja dla dziewcząt – Gimnazjum Żeńskie im. Wandy z Posseltów Szachtmajerowej w Warszawie.

Dziewczęta chodziły do szkoły w charakterystycznych zielonych mundurkach, które specjalnie zamówiono w znanym Domu Handlowym Braci Jabłkowskich. Do kompletu należały zielone spódniczki, białe bluzki z marynarskimi kołnierzami, ciemnozielone berety z czarnym pomponem, a także kostium gimnastyczny i obuwie sportowe. Znakiem szkoły była koniczynka. O dziewczętach ze szkoły parujących w mundurkach mówiono wówczas nie tylko na Ochocie „szachtmajerki”.

Do tej szkoły uczęszczały dziewczęta z różnych środowisk. Córki marszałka Piłsudskiego: Wanda i Jadwiga, hrabianka Anna Branicka z Wilanowa, którą do szkoły podwożono powozem, ale także córka dozorczy z sąsiedniego

domu i dziewczęta z ubogich rodzin, którym udzielano zniżek na chesne.

Grono pedagogiczne bardzo wielką wagę przywiązywało do naszych strojów. W tamtych latach pojawiły się pończochy tak zwane gazówki, i wielu rodziców było na nie stać, więc mamy chciały, żeby ich córki takie pończochy nosiły. Kierownictwo szkoły się nie zgodziło. Wszystkie dziewczynki nosiły zwykłe pończochy w prążki, żeby się nikt nie wyróżniał.

W czasie wojny część budynku szkolnego Niemcy zajęli na szpital wojskowy, a nauczanie odbywało się potajemnie w domach, na tak zwanych kompletach, na których razem z moimi koleżankami zrobiłam maturę.

Gdy wybuchło powstanie warszawskie, cała ósemka moich koleżanek poszła do powstania. Ja znalazłam się w Magdalence, bo moi dziadkowie wymagali pomocy. Zamierzałam dołączyć do dziewczyn, ale losy tak się potoczyły, że spotkałyśmy się dzięki Bogu w komplecie dopiero po powstaniu. Zawsze wspominałyśmy dawne czasy. Dziś z tego grona żyje tylko ja...





Wuj Stefan

– 17 stycznia 1945 roku wybrałam się sama pieszo z Magdalenki do Warszawy, by zobaczyć, co stało się z naszym mieszkaniem. Pierwszy raz zdobyłam się na taką odwagę, bo przecież były łapanki i ciotka mi na krok nie pozwalała się ruszać z Magdalenki. Wszystko, czego dowiedziałam się o najbliższych, wiedziałam od ciotki.

Nigdy tego dnia nie zapomnę. Warszawa się wokół paliła. Gdzieś niedaleko leżały jeszcze zwłoki zabitych. W morzu ruin, Alejami Jerolimskimi defilowała 1 Armia Wojska Polskiego. Na drewnianym podłożu stało dowództwo wojska z sowieckim marszałkiem Georgijem Żukowem na czele.

Wspominałam o ciotce, która mnie pilnowała, więc muszę opowiedzieć pewną historię o jej mężu, wujku Stefanie Majewskim. Historia ta bardzo wiąże się z Magdalenką i naszym domem na Pionierów.

Wuj był człowiekiem hardym. Urodził się w 1898 roku w Warszawie i można powiedzieć, że był urodzonym wojskowym. Od dwudziestego roku życia był żołnierzem. Doświadczenie wojenne zdobywał w 145 pułku Strzelców Kresowych w czasie wojny polsko-bolszewickiej 1920-1921 roku. Był dwukrotnie ranny. Został odznaczony Orderem Virtuti Militari i Krzyżem Walecznych.

...17 stycznia 1945 roku wybrałam się sama pieszo z Magdalenki do Warszawy

Jego wojskowa droga prowadziła przez 21 pułk piechoty Dzieci Warszawy, w 1929 roku otrzymał awans na stopień kapitana, potem w Centrum Wyszkozenia Broni Pancernej w Modlinie był dowódcą kompanii czołgów oraz zastępcą dowódcy Doświadczalnego Batalionu Pancerno-Motorowego. W 1936 roku został awansowany na stopień majora i przeniesiony do Centrum Wyszkozenia Piechoty w Rembertowie, skąd tuż przed wybuchem wojny przeniósł się do Centrum Wyszkozenia Broni Pancernej w Modlinie i stamtąd, w sierpniu 1939 roku, wyruszył wraz z 11 dywizjonem pancernym na wojnę.

Kiedy w październiku 1939 roku wrócił na chwilę do Warszawy, tak wspomina to, co zastał.

„Przedostałem się na ulicę Grójecką. Po bokach, pod ścianami domów i na otwartych przestrzeniach widniały cielska popalonych czołgów niemieckich. Domy z wyszczerzonymi czeluściami popalonych okien przedstawiały ponury obraz rumowisk. Doszedłem do placu Narutowicza. Zniszczenie wzrastało. Przed kościołem pełno mogił z prymitywnymi krzyżami. Dom narożny PKO trafiony w sam środek frontu, świecił przeraźliwą otchłanią swego nieszczęścia. Po drugiej stronie placu wznosił się olbrzym domu akademickiego, również w wielu miejscach rozbitego. U wylotu na ulicę Filtrową dom narożny uszkodzony pociskami artyleryjskimi. Ludzie chodzili jacyś nieprzytomni. Każda twarz wyrażała tragedię zbiorową i osobistą. Koszmar! Przeraził mnie ten widok. Machinalnie zdjęłam kapelusz i szedłem ulicami płacząc. Boże, jak bardzo bliskie były mi te miejsca... Ja, urodzony warszawianin, nie mogłem poznać Warszawy...

...Gdy ochłonąłem, gdy doszedłem do przytomności, zacząłem szukać rodziny i znajomych. Nie znalazłem wielu poszukiwanych, ale dowiedziałem się, gdzie jest żona. Naza jutrz pojechałem furmanką do jednego z podmiejskich lotnisk, gdzie przebywała z rodzicami...” (Stefan Majewski, *Jedenasty pancerny...* – Londyn 1942)

Po powrocie do Warszawy wuj dalej prowadził działalność konspiracyjną na Podlasiu, w Krakowie, Sanoku, by w końcu w 1940 roku znaleźć się w Paryżu w Sztabie Naczelnego Wodza, gdzie złożył raport o przebiegu działań wojennych.

Potem był batalion czołgów w armii francuskiej, batalion czołgów w Anglii, wykłady taktyki broni pancernej w Szkocji, rozkaz Naczelnego Wodza i w 1942 roku wyjazd do Kanady, gdzie został wykładowcą taktyki broni pancernej.

Potem Naczelny Wódz skierował wuja znowu do Anglii, gdzie skończył kursy spadochronowe w armii angielskiej. W 1944 roku został awansowany do stopienia pułkownika i bezpośrednio rozkazem Naczelnego Wodza wysłany do USA do szkoły pancernej w Forcie Knox. Po ukończeniu szkoły wrócił do Anglii i pełnił obowiązki dowódcy oddziału sztabowego Biura Wojskowego w Londynie. W 1947 roku opuścił Anglię i wyjechał do Afryki Południowej.

Wojskowym, a szczególnie oficerem, przed wojną dobrze się prowadziło. Wuj miał łódź i mały, piękny czeski samochód, którego marki niestety nie pamiętam. Bardzo często zabierał mnie tym samochodem, bo wujostwo dzieci nie mieli, więc byłam przez nich bardzo kochana.

Kiedy wojna się skończyła, wuj się ukrywał, ale wojskowego

sposobu chodzenia pozbyć się nie umiał, więc bałyśmy się z ciotką, że go rozpoznają jako oficera. Jego dowództwo też sobie z tego zdawało sprawę i dlatego został przerzucony na Zachód i tam z innymi podejmował walkę o wolną Polskę.

Nim wyjechał, powiedział, że swojego samochodu Niemcom nie odda. Łatwo powiedzieć „nie oddam”, ale co z tym samochodem zrobić? Gdzie i u kogo go schować? I wtedy wuj wpadł na szaleńczy pomysł. „Zakopimy go w Magdalence” – powiedział. I tak się stało. Za naszym domem został zakopany wuja samochód i w ręce wroga się nie dostał.

Ciotka do nas, do Magdalenki, trafiła przez przypadek. Niemcy żony oficerów, tak jak innych mieszkańców Warszawy, wywozili do obozu w Pruszkowie. Kiedy wieźli ciotkę wraz z innymi kobietami, nie wiem, czy to kobieca perswazja, czy odpowiednie łapówki spowodowały, że nie dowieźli kobiet do Pruszkowa, tylko wysadzili w lesie w Sękocinie. W ten sposób ciotka na cały okres powstania trafiła do Magdalenki. Do wuja w Londynie wyjechała w 1947 roku...

Pani inżynier

– W okresie powojennym dziewczyny od Szachtmajerowej miały ambicje, by studiować. Moi rodzice szczęśliwie wrócili z obozu w 1945 roku i mimo bardzo ciężkich warunków materialnych zdecydowałam, że pójdę na studia. W Warszawie jeszcze nie było gdzie studiować. Działalność prowadziły tylko dwie uczelnie w Polsce: w Gdańsku i w Łodzi.

Przed wybuchem wojny w 1939 roku byłam z rodzicami na wycieczce do Gdańska statkiem Vistula – wspomina pani Helena. – W programie było zwiedzania Gdańska i Sopotu. Już wówczas wyczuwało się atmosferę przygotowań do wojny. Ulicami chodzili umundurowani młodzi Niemcy, bardzo agresywnie nastawieni do Polaków.

Tablica upamiętniająca zwycięstwo Jana III Sobieskiego pod Wiedniem na pomniku przy Targu Drzewnym była oblana farbą. W Sopocie już obawiano się mówić po polsku. Wyczuwało się klimat agresji.

Mając do wyboru Gdańsk i Łódź, wybrałam się na studia do Gdańska, tym bardziej że mój ojciec został wydelegowany do pracy w jednej z filii banku PKO w Gdańsku, więc otrzymał służbowe mieszkanie i dzięki temu problem mieszkaniowy miałam z głowy.

Zaczęłam studiować chemię, bo już w szkole Szachtmajerowej bardzo mnie chemia interesowała. Może dlatego, że mieliśmy tam wspaniałych profesorów.

Z ogromnym sentymentem wspominam naszego polonistę, profesora Eugeniusza Sawrymowicza, późniejszego wieloletniego dziekana Wydziału Filologicznego Uniwersytetu Warszawskiego, profesora historii literatury polskiej i kierownika Zakładu Literatury Romantycznej.

Pamiętam, jak mówił: „Słuchajcie, kochane dziewczęta. Wiem, że nie lubicie gramatyki. Ja też jej nie lubię, ale postarajcie się pisać poprawnie, a zajmiemy się literaturą. Literatura jest tak piękna, że właśnie jej powinniśmy poświęcać swój czas”. I tak było. Uczył nas kochać literaturę.

Cudownie prowadzili swoje lekcje profesorowie chemii i fizyki. Zajęcia z nimi miały charakter pasjonujących pokazów. Ja byłam jedyną dziewczyną w naszej grupie, która na kompletach wykazywała zainteresowania przyrodnicze i techniczne, i dlatego brałam udział w różnego rodzaju eksperymentach.

Matematyk zaś prowadził na kompletach podchorążówkę. Niemcy odkryli jego działalność, wywieźli na Pawiak, a on bojąc się, że torturami zmuszą go do wydania przyjaciół, popełnił samobójstwo.

Studia na Politechnice Gdańskiej były bardzo ciekawe. Uczyli mnie przedwojenni profesorowie, którzy byli ludźmi wielkiej klasy. Po moim

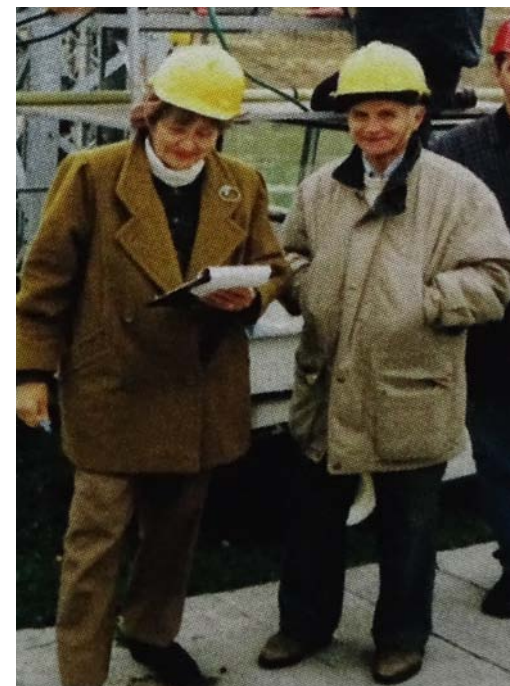
drugim czy trzecim roku studiów ojciec został wezwany do Warszawy, musiał opuścić służbowe mieszkanie i wróciliśmy do stolicy. Miałam problem, co robić: przerwać studia czy znaleźć pracę, zarabiać, pomagać rodzicom i studia skończyć? Wybrałam to drugie rozwiązanie.

Znalazłam pracę w Instytucie Mechaniki Precyzyjnej na Powązkach. Robiłam różne analizy chemiczne i od czasu do czasu chodziłam na wykłady na Politechnice Warszawskiej. Skończyłam studia i zostałam inżynierem chemikiem.

Potem dostałam propozycję pracy w Instytucie Elektrotechniki, w którym powstawał Zakład Wysokich Napięć. Propozycję przyjął, zrobiłam doktorat i zostałam tam aż do emerytury.

Co robił chemik w Zakładzie Wysokich Napięć? Był dla różnego rodzaju urządzeń, gwarantujących niezawodną pracę transformatorów, jak lekarz pierwszego kontaktu. Zajmował się opracowywaniem metod chemicznych, pozwalających na badania służące technice. Na przykład na zabezpieczanie sieci podczas wyładowań atmosferycznych.

Tam poznałam wspaniałego człowieka, Jerzego Słowikowskiego. Młodego inżyniera elektryka, z którym związałam się na całe życie. Dla niego byłam Lusią...





**...poznałam wspaniałego człowieka,
Jerzego Słowikowskiego**

Elektryk z rozsądku

– Jerzy był synem dyplomowanego pułkownika artylerii, straconego wraz z innymi polskimi oficerami w obozie NKWD w Starobielsku. Fakt ten w swoich wspomnieniach odnotował tak:

„Wiem, kiedy moje dzieciństwo zaczęło się, i wiem, kiedy się skończyło. Zaczęło się 7 kwietnia 1928 roku w Krakowie, a skończyło się 28 sierpnia 1939 r., w dniu wyjazdu mojego Ojca na wojnę, z której nie wrócił. Miałem wtedy 11 lat. Mieszkaaliśmy w Wilnie...

Rodzice moi byli bardzo kochającym się małżeństwem i ta atmosfera miłości rodzinnej w znacznej mierze ukształtowała moją osobowość i zdecydowała o moim optymistycznym spojrzeniu na świat...”

Optymistą był przez całe nasze wspólne życie do 2014 roku.

Jako szesnastoletni chłopak został żołnierzem AK Okręgu Wileńskiego i brał udział w walkach partyzanckich na tym terenie. Pod koniec 1944 roku przedostał się do Warszawy. Dwa lata później zdał maturę w liceum matematyczno-fizycznym i rozpoczął studia na Wydziale Elektrycznym Politechniki Łódzkiej. W 1948 roku przeniósł się na Politechnikę Warszawską i po ukończeniu studiów w 1952 roku rozpoczął pracę we wspomnianym Instytucie Elektrotechniki. Najpierw jako

asystent, potem adiunkt, kierownik pracowni, docent w Zakładzie Wysokich Napięć.

Mąż nie był elektrykiem z powołania. Wybrał studia na wydziale elektrycznym, bo wiedział, że rzeczywistość, w jakiej żył, nie daje mu szans na rozwijanie prawdziwych zainteresowań.

„Moje rzeczywiste zainteresowania (śladem dziadka, Jana Łosia, profesora sławistyki na Uniwersytecie Jagiellońskim) oraz tradycje rodzinne walk wolnościowych sprawiły, że były to historia i wojskowość. Kończąc gimnazjum i będąc świadkiem represji, jakie dotknęły moich bliskich, a niemalże mnie również, świadczyły, że żadnego z tych zainteresowań nie będę mógł rozwijać. Neutralnymi politycznie i możliwymi do realizacji, z pożytkiem dla siebie jak i innych, pozostawały studia techniczne, a więc politechnika. Brak zdolności rysunkowych zdecydował ponadto o wyborze studiów na wydziale elektrycznym, na którym rysunku technicznego praktycznie nie było”.

Kiedy w 1978 roku dostał propozycję objęcia stanowiska dyrektora Ośrodka Badawczo-Rozwojowego „Energokabel” w Ożarowie Mazowieckim, poprosił

bliskich przyjaciół o radę, czy ze swoim pochodzeniem, „akowską” przeszłością i faktem, że nie należał do partii, powinien propozycję przyjąć. Usłyszał „tak” i propozycję przyjął. Przeszedł być kibicem rzeczywistości, tylko tę rzeczywistość tworzył.

Taki był mój mąż. Mimo tego, że przez lata czuł na swoich plecach oddech bezpieki, wychodził z założenia, że warto pracować dla Polski. Warto angażować się w rozwój kraju, z którego ustrojem politycznym, istniejącym po 1945 roku, się nie zgadzał. Mogłabym o Jerzym, o naszej wspólnej pracy i naszym życiu długo opowiadać. Ale to pewnie historia na całkiem inne spotkanie... ■



Nim obudzi się słońce

Piosenka miała tytuł *Radość o poranku*.
Słowa do niej napisał śp. Jonasz Kofta.
Brzmiały tak:

*Jak dobrze wstać skoro świt, jutrzeńki
blask duszkiem pić, nim w górze tam
skowronek zacznie trył, jak dobrze
wcześnie wstać dla tych chwil...*

Nie wiemy, czy Grzegorz Kacprowicz, mieszkaniec Nowej Woli, zna ten tekst, ale wiemy z pewnością, że najbardziej lubi tę porę dnia, a nawet wcześniejszą.

Lata, gdy rolnicy z Lesznowoli zaopatrywali Warszawę w nowalijki i warzywa, gdy platformy zaprzężone w pary koni przed świtem jechały na Polną, Banacha, Muszkieterów, wspominają tylko starzy mieszkańcy gminy, którzy dziś są na emeryturze. To były czasy, gdy w gospodarstwach trzymano świnie, krowy, konie, a po podwórkach krzątały się kury z kurczętami. Lesznowola była prawdziwą gminą wiejską, położoną blisko Warszawy.

Potem, gdy podwarszawska gmina stała się atrakcyjnym terenem dla inwestorów, przedsiębiorców i ludzi, którzy chcieli osiedlać się w pobliżu wielkiej aglomeracji, a uprawy rolne przynosiły coraz mniejszy dochód,

rolnicy zaczęli odchodzić od tradycyjnej na tym terenie działalności. Liczba gospodarstw rolnych zaczęła błyskawicznie spadać i tego procesu już nikt nie mógł zatrzymać.

Trzeba było mieć odwagę i wyobraźnię, żeby nie pobiec za owczym pędem, nie podzielić gruntu na działki, sprzedać i cieszyć się błyskawicznym przepływem gotówki. Taką odwagę mieli młodzi ludzie wywodzący się z gospodarstw, mieszkańcy Lesznowoli – Anna i Grzegorz Kacprowiczowie.

Trudny start

Przed dom państwa Kacprowiczów prowadzi dojazd obsadzony drzewami i krzewami. Widać, że ktoś, kto zaprojektował i obsadzał teren, znał się na tym. Widać to doskonale teraz, w środku lata, gdy wszystko tonie w zieleni. Część mieszkalna jest w przemyślany sposób oddzielona od części produkcyjnej gospodarstwa, tak że idąc ścieżką wśród drzew i krzewów, nie spodziewamy się, że za ścianą zieleni zobaczymy hale produkcyjne, chłodnie, ciągniki i inne maszyny rolnicze ustawione na utwardzonym placu.

Tak wygląda gospodarstwo rolnicze państwa Kacprowiczów, którzy swoją działalność zaczynali od zera, czyli od gołej ziemi i kredytów.

– Czasem dzwoni do mnie koleżanka i mówi: „Tobie to dobrze. Ja na polu, w burakach, a ty ciągle wystrojona i ciągle gdzieś sobie jeździsz samochodem” – śmieje się pani Anna. – A ja sobie nie jeżdżę na zakupy czy – jak to mówi młodzież – „żeby trochę poshoppingować”. Jeżdżę, by załatwiać sprawy, których do załatwienia jest wiele. Trudno, że bym jeździła w gumo-filcach. Mąż też często gdzieś jeździ, ale nie dla przyjemności, tylko w interesach, do kontrahentów, do banku, kupić nawozy, środki chemiczne.

Znajomi często nas tak postrzegają, jakbyśmy mieli dużo czasu dla siebie. A my jak w kieracie. Od lat bez urlopu.

Czasem słyszymy, że to nie my pracujemy, tylko ludzie za nas pracują. A prawda jest taka, że pracujemy razem z nimi. Mamy wspaniałych pracowników. Niektórzy są z nami od wielu lat.

– Tu, gdzie teraz jest dom, pomieszczenia gospodarcze, hale produkcyjne, chłodnie, było gołe pole. Ta zieleń, ten klimat wokół, to dzieło mojej żonki – mówi pan Grzegorz. – Nie będę udawał, że z tego, co mamy, co już osiągnęliśmy, nie od czuwamy satysfakcji, ale na początku słodko nie było.

W 2002 roku jako trzydziestolatkiem zaczęliśmy z żoną na pustym placu i z zaciągniętymi kredytami. Gdy padało, nie można było do nas dojechać. Trzysta metrów musieliśmy ciągnąć linię elektryczną, bo bez prądu nie było życia.

Bardzo mocno zainwestowaliśmy w technikę. Współpracujemy z wielkimi marketami i żeby sprostać stawianym wymaganiom, musieliśmy kupić specjalistyczne maszyny i urządzenia do produkcji. Niedługo potem przyszedł moment, że unijne pieniądze przyznawano na dofinansowanie tak zwanym grupom producentów, a ponieważ nie byliśmy grupą, przegrywaliśmy finansowo, bo przy takich warunkach oni byli dla nas wielką konkurencją.

– Za wcześnie zaczęliśmy – wtrąca pani Anna. – Dofinansowania z UE przysły później.

– Może dlatego cały czas mieliśmy pod górkę – podsumowuje mąż.

...nikt nam
łatwego życia
nie obiecywał

Włoszczyzna ekstra

– Pochodzę z Falent, gdzie rodzice mieli gospodarstwo warzywnicze – opowiada pani Anna. – Dziadkowie i rodzice uprawiali warzywa i było to gospodarstwo z wieloletnimi tradycjami, bo kalafiora, kapustę, pomidory i selery uprawiali jeszcze pradziadkowie. Z Falent na Ochotę, na zieleniak przy Banacha, konik miał niedaleko, to nasze warzywa tam jechały. Konik znał drogę, więc często zmęczonego gospodarza bez nawigacji przywoził do domu (śmiech).

Skończyłam technikum ogrodnicze w Warszawie i uważałam wtedy, że w Falentach jest najpięk-



niej na świecie. Ludzie mieli gospodarstwa wokół domów. Warszawy nie lubiłam, bo mnie męczyła. Jak wracając ze szkoły, wysiadałam z autobusu w Ładach i szłam dwa kilometry wśród pól i łąk do domu, to nabierałam głęboko powietrza w płuća zadowolona, że znalazłam się w innym świecie.

– Ja jestem mechanikiem samochodowym, ale czułem, że tak to się skończy. Na gospodarstwie – śmieje się pan Grzegorz. – Nie wiem dlaczego, ale kiedy oglądałem zachodnie filmy, w których akcja toczyła się w wielkich marketach, zawsze zwracałem uwagę na coś dla treści filmu nieistotnego – na ekspozycję towaru. Tam wszystko czyściutkie, ładnie ułożone, pięknie wyeksponowane, a u nas? Bylejakość i brud.

Teraz mamy to samo i dlatego towar dostarczany przez nas do marketów musi być wypieszczony, umyty, marchewka wypielonowana, zapakowana w siatki lub w foliowe torebki. Na pewno naszym rodzi-

com i dziadkom do głowy by takie zachcianki nie przysły. Oni dostarczali warzywa prosto z pola, a my prosto z hali, w której zostały wyselekcjonowane, przebrane, wymyte, wyczyszczone, zapakowane, ułożone w kartonach, a kartony w odpowiedniej licznie na paletach.

To wszystko robią maszyny, a w polu pracują ludzie, których praca jest dziś bardzo droga. Coraz droższa. Wymagania naszych odbiorców są coraz bardziej rygorystyczne. Towar ma być odpowiedniej wielkości, kształtu, bez skaz czy plamek. Dawniej plamkę z jabłuszka można było wykroić nożem, teraz jabłuszko ma być bez plamki. Marchewka błyszcząca. Ziemniaczek z gładką skórką i mniej więcej tej samej wielkości. Słowem, łatwo nie jest, ale nikt nam łatwego życia nie obiecywał.

Myślę, że jako jedni z pierwszych zaczęliśmy stosować myjkę warzyw. Na początku za myjkę służyła betoniarka, ale po betoniarce

fot. z archiwum prywatnego
A. i G. Kacprowiczów

...ta zieleń, ten klimat wokół,
to dzieło mojej żonki



Uprawiamy cebulę z dymki, buraczki czerwone i popularną włoszczyznę, czyli te wszystkie warzywa, które składają się na pęczek: marchewkę, pietruszkę, seler i por. Pęczek jest pakowany w siateczkę, siateczka otrzymuje metkę z napisem „Gospodarstwo Rolne Grzegorz Kacprowicz, włoszczyzna extra, produkt polski”, do tego kod paskowy i jedzie do klienta. Robimy to na obszarze około pięćdziesięciu hektarów w trzydziestu kawałkach, dzierżawiąc dziesięć gospodarstw.

To jest naprawdę masakra. Stoimy w korkach z opryskiwaczami, kombajnami, pługami, bo do pół trzeba dojeżdżać w ciągu dnia, a tu u nas włączyć się do ruchu łatwo nie jest. Ja się śmieję, że my powinniśmy mieć dofinansowanie do hektara z powodu ciężkich warunków, choć nie jesteśmy w górach i pola nie są na stokach.

Do tego wszystkiego dochodzi ogromne tempo pracy. Wszystko musi być na czas, towar na odpowiednią godzinę przygotowany, zapakowany, dowieziony. Korki niczego nie usprawiedliwiają. Jak się spóźnimy z dostawą, okienko jak na poczcie zamknięte. Można wracać do domu.

– Przyzwyczailiśmy się już do tego tempa i to nas bardzo nakręca. Sami sobie narzucamy tempo i pra-

cujemy jak w ulu. W ciągłym ruchu. Czasem zdarzy się spokojny dzień – mówi pani Anna. – Nic się nie psuje, nie zacina, klient nie dzwoni, ludzie pracują w polu, a my chodzimy jacyś tacy niespokojni. Czujemy jakiś wewnętrzny niepokój, że chyba o czymś zapomnieliśmy. Nie dopuszczamy do siebie myśli, że taki dzień może się zdarzyć. Tak nam to tempo weszło w krew.

Zapach ziemi

– Mój ojciec w Lesznówoli uprawiał hektar kapustki, hektar ziemniaczka, hektar marchewki. W gospodarstwie były dwie krówki, cielaczek, luz. To było życie – mówi pan Grzegorz. – Spokojnie, bez pośpiechu, jak nie zrobił czegoś dziś, to zrobił jutro i nic się nie stało. Świat się nie zawalił. I tym tak bardzo różni się to dzisiejsze rolnictwo od tamtego, tradycyjnego. Różni się rytmem dnia i tempem pracy.

– Grzegorz nigdy nie może się doczekać wiosny. Dnia, gdy ruszy w pole. Ubi zapach ziemi – mówi pani Anna.

– Tak, rzeczywiście lubię zapach ziemi. Lubię też wykonywać różne zabiegi. Na przykład jeździć z opryskiwaczem, bo opryski wykonuje się rano, skoro świt. Jest to czas, gdy ludzie jeszcze śpią.

Uwielbiam wschód słońca. A nawet ten czas przed wschodem.

Kocham rano i uważam, że ludzie dużo tracą, kiedy wstają później i tego nie doświadczają. Tego spokoju, tajemniczej ciszy, mgły nad polami, zapachu budzącego się dnia.

Zawsze o tej porze w okolicy jest troje ludzi. Pani Milczarek, robiąca zaopatrzenie do sklepu, znany w Lesznówoli, nieco ekstrawagancki Stasio, który stale gdzieś idzie, i ja na ciągniku z opryskiwaczem. Trójka ludzi o wschodzie słońca.

Wiosną wychodzimy w pole, siejemy i sadzimy, a od połowy czerwca zaczynają się zbiory. Pierwsza jest cebula z dymki. Od połowy lipca mamy marchewkę i czerwone buraki. Zbiory kończą się w grudniu. Tak to się wszystko wydłużało.

Ojciec miał zasadę, żeby wszystko z pola sprzątnąć do Wszystkich Świętych, czyli do pierwszego listopada, a my marchew przetrzymujemy na polu dokąd się da, dokąd pogoda pozwoli. Przymrozków, jeśli chodzi o warzywa korzeniowe, się nie boimy.

Jeszcze o jednym musimy powiedzieć, bo to odróżnia dzisiejsze gospodarstwo od gospodarstw prowadzonych dawniej. Kto dawniej słyszał w gospodarstwie o jakiejś robocie papierkowej czy biurowej? U nas jest dokładny podział pracy, bo bez tego „Gospodarstwo Rolne Grzegorz Kacprowicz” nie mogłoby funkcjonować.

Żona zajmuje się papierkami i pracą, nazwijmy to, biurową. – Czasem dzwonią do mnie koleżanki: „Jesteś w domku? – No jestem” – odpowiadam, ale z tego nie wynika, że nie pracuję – mówi pani Anna.

– Mnie pracy w polu nie przybywa – wtrąca pan Grzegorz. – Są maszyny, rytm pracy mniej więcej ten sam. A jej pracy biurowej przybywa coraz więcej. Ja nie jestem takim twardzielem, że wstaję skoro świt i cały dzień jestem na obrotach. Nie, w południe ucinam sobie godzinę drzemkę, a ona sobie na to pozwolić nie może.

Dawniej zamówienie wyrzucił fax i człowiek widział ten wypadający papier. Teraz, gdy wszystko w różnych systemach jest w komputerach, żona musi co jakiś czas wchodzić na stronę i pilnować, żeby nic nie przegapić. Przeważnie zamówienia przychodzą do godziny trzynastej, ale zdarza się, że jakieś zamówienie wpada o siedemnastej. Wynika z tego, że tak naprawdę cały czas musi być czujna, bo są umowy z kontrahentami i trzeba się z nich wywiązywać punktualnie, co do godziny.

Żyjemy szybko, ale nie narzekamy. Nawet na to, że – jak wspomniałem – od lat nie mieliśmy urlopu. Kiedyś to sobie odbijemy. Syn studiuje zarządzanie, ma swoją firmę

informatyczną, więc naszym śladem raczej już nie pójdzie. Mówi, że ma inną wizję przyszłości. Może nas do tej swojej wizji z czasem przekona i spróbujemy czegoś nowego. Czas pokaże, ale i tak najpiękniej będzie przed wschodem słońca. ■



**...kocham rano
i uważam, że ludzie
dużo tracą, kiedy
wstają później**



Pięć kroków

To z całą pewnością nie jest tekst, do jakich przyzwyczailiśmy Czytelników. Opowiadamy w nim o młodej mamie, która od kilku lat dramatycznie, z ogromną wiarą walczy o zdrowie synka. Nawet przez chwilę nie dopuszcza do siebie myśli, że jej walka może nie zakończyć się sukcesem.

fot. Procoremedia fotografia

Gdyby nie telefon Justyny Gawędy z Nowej Iwicznej, radnej naszej gminy, pewnie nie poznalibyśmy mamy małego Michałka, która na siłaczkę nie wygląda, ale siłaczką jest. Ma charakter, wolę walki, nadludzką cierpliwość, siłę w przezwyciężaniu przeciwności losu i pokorę.

Nie zainteresowalibyśmy się też kliniką dr. Dora Paleya w West Palm Beach na Florydzie. Nic by nam nie mówiło nazwisko dr. Davida S. Feldmana, który po konsultacji i spotkaniu z Michałkiem i jego mamą rok temu wydał opinię.

„Konsultowany młody człowiek przedstawia sobą dość skomplikowany przypadek ze współistnieniem wielu stosunkowo rzadkich problemów klinicznych, stąd wymaga nietypowego leczenia chirurgicznego. Szczegółowo wyjaśniłem tę kwestię rodzicom. Zdecydowaliśmy w miarę możliwości o podjęciu próby leczenia w Paley Institute w West Palm Beach Florida w najbliższej przyszłości”.

Trudna ciąża

– W jedenastym tygodniu ciąży dowiedziałam się od lekarza, że będzie to ciąża zagrożona – wspomina Edyta Dziedzic, mama małego Michałka. – Lekarz nie dawał szans, że ciążę donoszę i urodzę dziecko. Płód był obciążony jakąś wadą genetyczną, a z podwyższonych parametrów wynikało, że w pewnym momencie „ciąża będzie uziemiona” i nie przetrwa.

„Gdy przyjdzie pani do mnie na kolejną wizytę za trzy tygodnie, będzie już po wszystkim. Nie będziemy mieli o czym rozmawiać” – powiedział mi lekarz na pożegnanie.

Załamalam się. Ta informacja wypowiedziana chłodno, bez emocji, ścięła mnie z nóg. Nie myślałam jednak o tym, co usłyszałam, tylko odwiedzałam kolejnych specjalistów. Przez te trzy tygodnie chodziłam prywatnie do lekarzy, by sprawdzać, czy dziecko jeszcze żyje.

Minęły trzy tygodnie, pojechałam na wyznaczoną wizytę i lekarz, który zapewniał mnie, że nie będziemy mieli już o czym rozmawiać, stwierdził zdziwiony, że płód ma się dobrze. Był bardzo zaskoczony, że ciąża przetrwała od poprzedniej wizyty i nic nie wskazuje na to, że „będzie uziemiona”.

Mieszkaliśmy wtedy w Kozienicach i na wizyty jeździliśmy do specjalistycznego szpitala ciąży patologicznej w Warszawie. Z każdej wizyty wracałam coraz bardziej przygnębiona, bo wszystkie kończyły się dla mnie i dziecka, które w sobie nosiłam, złą przepowiednią.

Mówiono, że ciąża z całą pewnością nie przetrwa, że nie ma po co wyznaczać terminu porodu, bo nic z tego nie będzie i do żadnego porodu nie dojdzie. Ciąża wcześniej czy później obumrze, tym bardziej że podczas badań wykryto poważną wadę serca u dziecka.

Żyłam w stanie nieustannego napięcia, ale nawet przez ułamek sekundy nie przyszło mi do głowy, żeby

...żyłam w stanie nieustannego napięcia

ciążę usunąć i pozbyć się zmartwień. W ogóle o tym nie myślałam. Robiłam wszystko, żeby dziecku było dobrze. Całymi dniami leżałam i głaskałam brzusek. Nawet, jeśli pomyślałam przez chwilę, że dziecko może odejść, to chciałam, żeby odeszło godnie i dokąd można, by było mu w moim brzuchu dobrze.

Nigdy nie rozmawialiśmy z mężem o usunięciu ciąży, bo takie rozwiązanie w ogóle nie przychodziło nam do głowy. Nie było takiej rozmowy z lekarzem, bo ten był przekonany, że rozwiązanie problemu nastąpi samoczynnie. Cięża obumrze, poronię i będzie po sprawie. Organizm sam sobie z tym poradzi.

A tu niespodzianka. Mój organizm zaakceptował Misia. Odwiedzałam lekarzy i czekałam. Płód się rozwijał, dziecko rosło, a ja przyjmowałam coraz to nowe wiadomości, ale żadna z nich nie była radosna. Szczególnie niepokojące były te o proporcjach kończyn. Pewnego dnia lekarz powiedział mi, że dziecko się urodzi, ale może nie mieć rącek i nóg, bo są one jakoś przykurczowo zawinięte.

W siódmym miesiącu ciąży dowiedziałam się, że na obrazie USG nie widać, aby dziecko miało dłonie i stopy. Czy tak jest faktycznie, lekarz pewności nie miał. Informował mnie o tym, co widział na obrazie, a mnie świat usuwał się spod nóg. Gdy czułam, że znowu stoję, mówiłam sobie: „Niemożliwe, żeby tak było”.

Witaj, Misiu

– Od dwudziestego czwartego tygodnia ciąży leżałam w szpitalu w Pionkach na oddziale patologii. Przeżywałam ogromny stres i trzeba było uspokoić organizm, żeby nie wywołać przedwczesnego porodu.

W trzydziestym tygodniu trafiłam na prawie dwa miesiące do szpitala na Czerniakowskiej w Warszawie. To był Samodzielny Publiczny Szpital Kliniczny im. prof. W. Orłowskiego.

Dwudziestego października w trzydziestym siódmym tygodniu ciąży zapadła decyzja, że urodzę przez cesarskie cięcie. Leżałam na stole i myślałam tylko o jednym: czy dziecko będzie żywe, bo pod koniec ciąży ruchy płodu były coraz słabsze.

Potem nastąpiły chyba najgorsze i najdłuższe w moim życiu chwile. Wiedziałam, że niemowlę jest już w rękach lekarzy, a ja go nie słyszałam. Słyszałam, jak lekarz mówił, że chłopiec ma rączki i stópki, że dziecko jest kompletne, i potem nastąpiła cisza. Przeraziła cisza. Nie słyszałam płaczu. Niemowlak nie dawał sygnału, że jest na świecie.



Pytałam raz i drugi, czy żyje, lekarze podawali mi leki uspokajające, ale nie było tej odpowiedzi, na którą tak czekałam. Wydawało mi się, że to trwa wieki. Czulałam, że się zapadam, że odlatuję, i wtedy go usłyszałam. Usłyszałam, że moje dziecko płacze, i to była dla mnie najważniejsza informacja. Jest, żyje, płacze.

Odjechałam na salę poporodową, a Michałek do inkubatora na oddział noworodków. Zbadano go, sprawdzono i nakarmiono, bo był bardzo głodny. Mąż przyszedł do mnie szczęśliwy i powiedział, że maluszek jest śliczny, że ma rączki, nóżki, tylko jest troszeczkę pokrzywiony. Potem mogliśmy już do niego chodzić, bo leżał w specjalnej salce.

Zaczęły się badania i różne konsultacje. Do Michałka przyjeżdżali lekarze specjaliści, odbywały się konsultacje ortopedyczne, bo – jak napisano w wywiadzie – „przy narodzinach zaobserwowano szereg wad układu szkieletowego”. Jeszcze wtedy nie wiedziałam, co to znaczy, i nie zdawałam sobie sprawy z tego, co nas czeka.

Zderzenie z rzeczywistością

– Teraz mogę o tym wszystkim mówić dość spokojnie, bo Michaś ma cztery i pół roku i zdążyłam się z naszą rzeczywistością jako tako oswoić, choć zawsze, gdy wracam do wspomnień, wszystko przeżywam na nowo.

Kiedy pierwszy raz wzięłam synka na ręce, stwierdziłam z przerażeniem, że jest cały zablokowany. Jakby drewniany. Zablokowana szyja, stawy, nadgarstki, twarde ręce, nogi. Głowę miał skręconą w jedną stronę. Tylko jego wielkie oczy patrzyły ciekawie świata raz w jedną, raz w drugą stronę.

Lekarze opisali mi stan dziecka, powiedzieli, że muszę być przygotowana na to, że Michaś nigdy nie weźmie do ręki kubka, nie podniesie go do ust, żeby się napić. Nie będzie stał na nogach i nie będzie chodził. Będzie wymagał mojej całodobowej opieki.

Wysłuchałam lekarzy, ale moja reakcja na to, co usłyszałam, była dla nich zaskoczeniem. Powiedziałam stanowczo: „Nie, nie. Tak to nie będzie”. Nie przyjąłem informacji, że muszę się z tym, o czym mówią, pogodzić, że mnie rozumieją, że wszystko wymaga czasu, oswojenia się z bolesnymi faktami i przygotowania na takie życie.

Lekarze mówili swoje, a ja wiedziałam, że tak nie będzie, że tak po prostu być nie może. Moja świadomość absolutnie nie przyjmowała tych zapowiedzi. Mąż mnie uspokajał, przekonywał, że muszę przyjąć to, co mówią lekarze, a ja uparcie mówiłam: „Nie”.

Wychodziłam od lekarzy, kręciłam głową i powtarzałam sobie, że to nie może być prawda. Tak nie będzie. Nie będzie.

Po dwóch tygodniach od wyjścia ze szpitala do domu, pojechałam z Michałkiem do specjalisty ortopedy. Michaś wrócił do domu, mając na nóżkach założone gipsowe ortezy, stabilizujące układ mięśniowo-szkieletowy. Przez pół roku jeździliśmy z nim na wymianę gipsów, a gdy przestał tak intensywnie rosnać, dostał stałe, profesjonalne ortezy na nóżki i na ręce.

Od samego początku, gdy tylko zjawił się w domu, był rehabilitowany. Co trzy tygodnie jeździliśmy z Kozienic do Warszawy na specjalistyczną rehabilitację metodą Wojty. Specjalista uczył mnie, jak mam w warunkach domowych prowadzić terapię. Ustalał wybór stref, które wymagały pobudzenia, i kolejność ćwiczeń. W leżeniu na plecach, na boku i na brzuchu. Prowadziłam tę rehabilitację pięć razy dziennie, a mąż masował mu rączki i stópki.

Zauważyłam, że z każdym niemal dniem przykurcze dłoni i palców puszczały. Ręce z twardych, napiętych stawały się miękkie, elastyczne. Paluszki zaczęły się zginać.

Niezapomniana noc

– Gdy wydawało się, że wszystko idzie w dobrym kierunku, nastąpił nieoczekiwany zwrot. Atak był o godzinie ósmej rano. Dziecko dosłownie wyło z bólu. O piętnastej pojechaliśmy do szpitala w Kozienicach, ale nie rozpoznano powodu ataku. Przerzucono nas do szpitala w Radomiu. Po jakimś czasie przyszedł lekarz i powiedział, że czekają na anestezjologa, bo Michaś musi być natychmiast operowany. Trzeba usunąć część martwego jelita. Czekaliśmy. Michaś cierpiał.

Około dziewiętnastej przyszedł anestezjolog, zapoznał się z dokumentacją i stwierdził, że w takim stanie pacjenta nie podejmie się zabiegu. Lekarze rozłożyli ręce, dając mi do zrozumienia, że trzeba pogodzić się z losem lub czekać na cud.

Dziecko było prawie w agonii. Zadzwoiłam do swojej siostry, która dała mi numer telefonu do szpitala Centrum Zdrowia Dziecka w Warszawie. Mąż zadzwonił, opowiedział, co się dzieje, i usłyszał: „No to dawajcie tego dzieciaka. Natychmiast trafi na stół”.

Niestety, szpital nie chciał nam dać karetki, by Michasia przewieźć z Radomia do Warszawy. Prosililiśmy, by wezwali helikopter. Gotowi byliśmy zapłacić. Niestety, była już noc, a na lotnisku helikopterów nie było oświetlenia. Około dwudziestej trzeciej dostaliśmy karetkę.

Do Centrum Zdrowia Dziecka dotarliśmy o pierwszej w nocy. Lekarze biegli do nas i natychmiast zabrali Michasia na blok operacyjny. Błyskawicznie wykonano potrzebne badania i zrobiono konieczne analizy. Ponieważ dziecko było w tak ciężkim stanie i lekarze nie mieli pewności, że operację przeżyje, poradzili, byśmy się z synkiem pożegnali.

O piątej rano przyszli do nas uśmiechnięci i zadowoleni. Puścili mi nerwy. Podbiegłam do nich i prawie

**...nie wiem,
skąd w tym dziecku
było tyle siły**

krzycząc, pytałam: „Co z dzieckiem? Czy żyje? – Proszę się uspokoić – powiedział lekarz. – Odkryliśmy martwicę jelit, usunęliśmy, co trzeba, pomasowaliśmy, przetoczyliśmy krew i zaszyliśmy. Za trzy dni wszystko powinno ruszyć. Mały dostał szansę i jego organizm powinien sobie z problemem poradzić. Mam nadzieję, że kolejna operacja, której skutkiem byłoby karmienie pozajelitowe, nie będzie potrzebna”.

Nie wiem, skąd w tym dziecku było tyle siły, że wszystko się zregenerowało. Trwało to długo, cierpiał, ale po trzech dobach dostał pierwsze kilka mililitrów pokarmu. Potem każdego dnia odpowiednio więcej. Był ciągle głodny i cieszył się, gdy był karmiony. Dawał mi w tym trudnym czasie taką energię, że tylko utwierdzałam się w przekonaniu, że wszystko będzie dobrze.

Pięć kroków

– Gdy tylko kondycja Michałka pozwoliła na to, by powrócić do rehabilitacji, natychmiast zaczęłam to robić. Od poniedziałku do piątku każdego dnia.

Płakał, protestował, a ja miałam ciągle w głowie to, co powiedziała rehabilitantka: „To od was zależy, czy czas będzie wam sprzyjał, czy będzie waszym wrogiem. Ile zrobicie z dzieckiem, tyle dziecko będzie miało”. Gdy Michałek miał osiem miesięcy, leżąc na brzuszku podnosił główkę zaledwie na trzy sekundy. Raz, dwa, trzy i główka opadła.





Zagryzłam zęby. Czasem nie miałam siły, bo mąż jest inżynierem drogowcem i pracuje na wyjazdach, ale robiłam z Michaśkiem tyle, ile tylko mogłam. Rezultaty tej pracy zaczynało być widać. Lekarka, do której jeździliśmy na rehabilitację, była w szoku, widząc, jaki jest postęp. Przede wszystkim Michaś się prostował. Trzymając się mebli, zaczął się podnosić.

Kiedy skończył trzy i pół roku, stanął i samodzielnie ustał. Pewnego razu, gdy byliśmy u mojej mamy, wstał, trzymając się łóżka, i zrobił samodzielnie pięć kroków. Odebrało mi oddech. Nie mogłam złapać z wrażenia powietrza. Tak tego przecież pragnęłam, tak o tym marzyłam i stało się.

Bliżej lekarzy

– Żeby być bliżej specjalistów, lekarzy i rehabilitantów, postanowiliśmy z mężem, że wyprowadzimy się z Kozienic do Lesznowoli. Dla Michaśka to był dramat. Musiał rozstać się z kochaną babcią i dziadkiem, czyli moimi rodzicami, zostawić swój pokoik, łóżeczko i prze-

nieść się w nowe, nieznanne miejsce. Żeby nie powiększać jego stresu, jeszcze przez prawie rok jeździłam z nim na trzy dni na rehabilitację do Kozienic. W ten sposób udało mi się zachować jakąś konieczną dla niego równowagę psychiczną i kiedy uznałam, że jest gotów na zmianę, zapisałam go na rehabilitację tu na miejscu. Szybko się zaaklimatyzował i teraz tutaj jest jego dom.

Zaczął mieć kolegów, zaczęliśmy mieć znajomych, bo ja go wszędzie ze sobą noszę lub wożę. Z wykształcenia jestem magistrem chemii, ale zostawiłam pracę i zajmuję się Michaśkiem. On teraz może przejść parę kroków, przemieścić się z huśtawki do karuzeli, z pokoju do pokoju, ale to na razie wszystko. Z mieszkania na plac zabaw nie pójdzie, z domu do samochodu bardzo rzadko. Nie ma mowy, żeby doszedł do przedszkola, choć bardzo je lubi.

Od początku, gdy dowiedziałam się, że Michaś będzie miał problemy z układem kostnym, wyszukiwałam w internecie informacje na temat możliwości leczenia i rehabilitacji. Tak trafiłam na dziewczynkę, która urodziła się z problemami ortopedycznymi i rodzice szukali specjalistów, którzy uratowaliby jej nóżki. W ten sposób dowiedziałam się o klinice doktora Paleya na Florydzie.

Zobaczyłam doktora w telewizji, kiedy na zaproszenie fundacji „Kochaj życie” przyjechał do Polski. Odszukałam fundację i gdy dowiedziałam się, że za rok dr Paley znowu będzie w Polsce, tylko na ten przyjazd czekaliśmy. Spotkaliśmy się na konsultacji z dr. Davidem S. Feldmanem, specjalistą od leczenia wad kręgosłupa i kończyn, współpracującym z dr. Paleym.

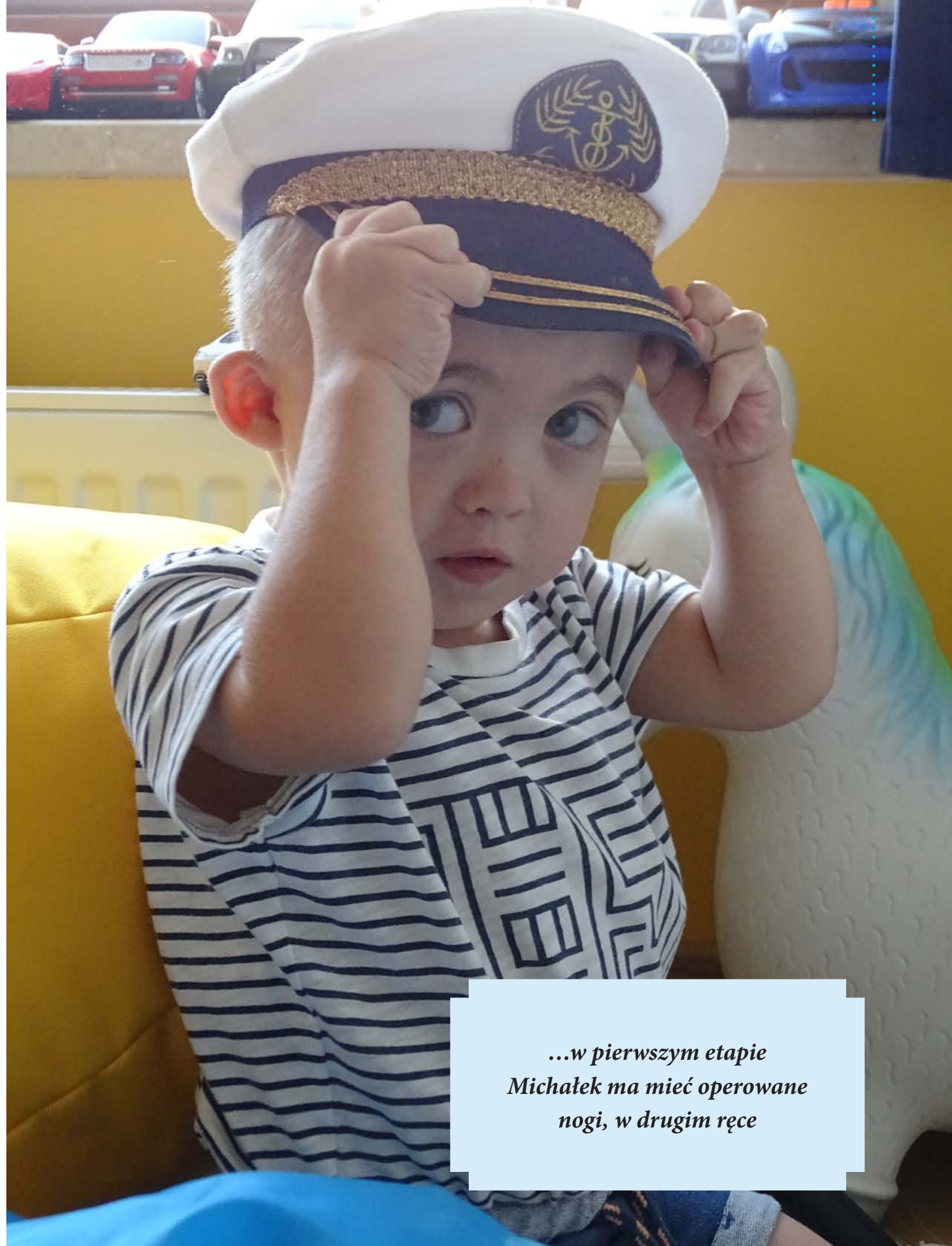
Dr Feldman zakwalifikował Michaśka do operacji. Stwierdził, że występują u niego wszystkie cechy choroby zwanej zespołem Larsena. Charakterystyczne objawy tej choroby to przede wszystkim nadmierna wiotkość stawów. Dostaliśmy wykaz wszystkich niezbędnych badań, jakie Michaś powinien mieć zrobione, i wkrótce potem list, że Michaś został zakwalifikowany do operacji przez dr. Paleya.

W lipcu tego roku dowiedzieliśmy się, że dr Paley ma przyjechać i operować w Polsce. Czekaliśmy na kosztorysy, żeby móc uruchomić zbiórkę pieniędzy na operację. W pierwszym etapie Michaś ma mieć operowane nogi, w drugim ręce. Odzew na nasz apel o pomoc był ogromny.

Ostatnim jego akordem był festyn w Nowej Iwicznej „Gramy dla Michaśka”, zorganizowany przez naszych sąsiadów z Zielonej Polany, pod patronatem pani wójt Marii Jolanty Batyckiej-Wąsik. Ogromne, wzruszające przedsięwzięcie ludzi, którzy swój czas poświęcili, by festyn zorganizować, być na nim i dołożyć swoją cegiełkę na operację Michaśka.

Bardzo im za to w imieniu Michaśka dziękujemy. Za kilka dni dr Paley będzie Michaśka operował.

Ja, niepoprawna optymistka, wierzę głęboko, że dzięki ludziom dobrej woli wszystko zakończy się pomyślnie. ■



*...w pierwszym etapie
Michałek ma mieć operowane
nogi, w drugim ręce*



30 sierpnia Michał przeszedł siedmiogodzinną operację kolan i stawu biodrowego. 3 września wrócił do domu. Obecnie nabiera sił.



Jak napisali na swojej stronie internetowej mieszkańcy Nowej Iwicznej, kierownikiem całego zamieszania był czteroletni Michał Dziedzic, a współodpowiedzialnymi mieszkańcy Osiedla Zielona Polana, czyli jego sąsiedzi. Całe zamieszanie to wielka akcja charytatywna, która pod patronatem pani Marii Jolanty Batyckiej-Wąsik, wójta naszej gminy, przebiegała pod hasłem „Gramy dla Michałka” i odbyła się 24 sierpnia.

Nie byłoby jej, gdyby nie empatia ludzi, którzy postanowili pomóc. I jak to bywa w przypadku efektu śnieżnej kuli, zaczęło się od kilku pomysłów, a potem wszystko nabierało tylko większych rozmiarów. W akcję włączyli się właściciele prywatnych firm, strażacy, urzędnicy

i samorządowcy, uczniowie okolicznych szkół, rodzice, mieszkańcy Nowej Woli i mieszkańcy innych miejscowości, którzy losem chłopca po prostu się przejęli. Cel był jeden – zbiórka funduszy na jego operację.

Okoliczne sklepy przekazały więc żywność, napoje i słodycze, kucharze z hotelu Książę Poniatowski ugotowali zupę ogórkową, firma Rowiński-Wajdemajer zafundowała Michałowi przejażdżkę jego ulubionym samochodem, a szkoła w Nowej Iwicznej udostępniła sale i tereny przyległe, nad którymi czuwało Centrum Sportu. Były dmuchańce, maszyny do lodów, nauka udzielania pierwszej pomocy, malowanie buziek, pamiątkowe zdjęcia, zawody sprawnościowe, trening charytatywny, pokaz iluzjonisty i zumby.

Można było wylicytować koszulki z autografami sportowców, jazdę próbną samochodem Tesla, obrazy i kolację z wójtem gminy Lesznowola.

Wystąpiła skrzypaczka Aleksandra Błachno, Big Band dla Frajdy i Iwona Manista-Kutryś. Mecz piłki nożnej rozegrali samorządowcy i mieszkańcy Zielonej Polany, była lemoniada i wielka skarbonka, do której wpadały pieniądze. Były jeszcze inne liczne atrakcje, a za każdą z nich stali po prostu ludzie.

Czteroletni kierownik całego zamieszania, który przez większość czasu nie opuszczał ramion rodziców, był wyraźnie zadowolony. Ile będzie pamiętał z tego dnia, nie wiadomo, ale dzięki pomocy obcych ludzi jego życie być może stanie się nieco łatwiejsze. ■



fot. Anna Niezabitowska

– Lubię jazz, podróże, uwielbiam czytać książki, choć mam na to wszystko za mało czasu. Aha, lubię jeszcze sprzątać. Nie umiem gotować, ale się staram. Gdy będę na emeryturze, będę robiła tylko to, co lubię – mówi, śmiejąc się, wójt naszej gminy Maria Jolanta Batycka-Wąsik.

NA WSZYSTKO PRZYJDZIE CZAS

Pani wójt jest osobą znaną. Od dwudziestu lat mamy z nią urzędowy, oficjalny kontakt, spotykamy na gminnych uroczystościach, piknikach, imprezach sportowych, zebraniach sołeckich i przy innych okazjach. Ale czy znamy panią wójt z drugiej, nieurzędowej strony?

Większość Czytelników „mojej Lesznowoli” z pewnością odpowie – nie. Nam udało się namówić panią wójt na taką rozmowę, na jaką umawiamy się z bohaterami naszych tekstów. Prywatną rozmowę o życiu.

Gdy byłam małą dziewczynką

– Urodziłam się na Podkarpaciu, niedaleko Jarosławia, w małej wsi Chotyniec, którą do dziś bardzo kocham. Była w niej i jest piękna drewniana cerkiew Narodzenia Przenajświętszej Bogurodzicy wzniesiona



fot. z archiwum prywatnego M. J. Batyckiej-Wąsik

w 1613 roku i wpisana w 2013 roku na Listę Światowego Dziedzictwa UNESCO.

Mój tata pracował w ówczesnym PGNiG. Jeździł wszędzie tam, gdzie prowadzono odwierty i odkrywano pokłady ropy i gazu. Był w PGNiG kierownikiem przedsiębiorstwa budowlanego i budował stacje wydobywcze, dlatego był tatą w delegacji. Cierpieliśmy z tego powodu, bo brakowało nam go na co dzień. W domu bywał raz w tygodniu, a czasem raz w miesiącu, i wtedy staraliśmy się ten czas jego nieobecności nadrobić. Ale tak naprawdę nigdy to nam się nie udało, choćby tata nie wiem, jak się starał.

Nie zapomnę, jak bardzo czekaliśmy na jego przyjazd. Tak, jakbyśmy czekali na bohatera z jakiejś bajki. Może dlatego, że tata kochał historię i zawsze miał dla nas nowe opowieści. Próbował zaszczepić w nas miłość do historii. Wychodził z założenia, że największym majątkiem, jakim można obdarować dziecko, jest wiedza. Sam był człowiekiem obdarzonym bardzo wielką, wszechstronną wiedzą i starał się ją nam przekazywać.

Doskonale do dziś pamiętam, choć miałam wtedy zaledwie pięć lat, jak tata przyjechał z budowy w Kamieniu Pomorskim i w niedzielę po śniadaniu zabrał mnie na spacer do lasu. Był maj i tata opowiadał mi o stokrotkach i zawilcach. Zatrzymywaliśmy się co jakiś czas i w ciszy nasłuchiwalimy, co dzieje się w lesie. Było w tym nasłuchiowaniu coś tak tajemniczego, fascynującego, że pamiętam to do dziś i chyba nigdy nie zapomnę. Uczyłam się słuchać lasu.

Tata był takim człowiekiem, że wystarczyło jego jedno zdanie albo spojrzenie, a my wiedzieliśmy, o co chodzi. Rozumieliśmy go bez słów.

Mama, która ma obecnie osiemdziesiąt sześć lat, zawsze była naszą przyjaciółką, ale o sprawach poważnych rozmawiałam tylko z tatą. Mama zajmowała się domem i wychowywaniem naszej czwórki. Mam starszego brata Jurka, który dziś jest leśnikiem, młodszą siostrę Ewę, która studiowała w Londynie i tam mieszka, i najmłodszego brata Aleksandra, który skończył gastronomię i ma w Rzeszowie swoją restaurację.



*...rodzice od małego
uczyli nas miłości
i szacunku do ludzi*

Miałam cudowne dzieciństwo. Takie, jakie mają dzieci w kochających się rodzinach, bo rodzice bardzo nas kochali. Tak naprawdę od małego uczyli nas miłości i szacunku do ludzi.

W Chotyńcu mieszkaliśmy po sąsiedzku z babunią i dziadziem, rodzicami mojej mamy, których tata niezwykle szanował. Szczególnym szacunkiem darzył dziadka, który tak jak my, mimo sędziwego wieku, zawsze czekał na przyjazd zięcia z delegacji. Obaj panowie mieli sobie bardzo wiele do powiedzenia.

Później, gdy zmarła babunia, a dziadzio zbliżał się do dziewięćdziesiątki i zamieszkał razem z nami, czekał na mojego tatę nie tylko dlatego, żeby porozmawiać, ale czekał na specjalny rytuał golenia. To było coś, co w przedziwny sposób łączyło obu panów. W tygodniu dziadek golił się sam, ale w ten jeden dzień, gdy tata przyjeżdżał do domu, czekał, by ogolił go Stefan, bo tak mój tata miał na imię. Mama ma na imię Stanisława.

Moja szkoła

– W Chotyńcu była mała, czteroklasowa szkoła. Dyrektorką szkoły była pani Teresa Nasalska, polonistka, która w ramach nakazu pracy przyjechała na Podkarpacie z Warszawy. Ta cudowna kobieta sprawiła, że mała, czteroklasowa wiejska szkoła stała się prężnie działającym, tętniącym życiem ośrodkiem kultury.

Potrafiła tak zainspirować rodziców, że wszyscy brali czynny udział nie tylko w życiu szkoły, ale też w życiu Chotyńca. Organizowała różnego rodzaju imprezy, spotkania, zajęcia teatralne, wystawiała sztuki, w których aktorami byli rodzice i dzieci.

Jurek, ponieważ był ode mnie starszy o trzy lata, chodził do szkoły, a ja nie mogłam zrozumieć, dlaczego on może, a ja nie. Za nic nie mogłam się z tym pogodzić. Nie rozumiałam, że w życiu na wszystko przychodzi czas i mój jeszcze nie nadszedł. Miałam przecież tylko sześć lat, a chciałam za wszelką cen robić to, co robił Jurek.

Pani dyrektor była zaprzyjaźniona z moimi rodzicami i bywała w naszym domu. Widziała mój bunt przeciw tej niesprawiedliwości, jaka mnie z powodu wieku w życiu spotkała. Tata radził się jej, co ze mną zrobić. Pani Nasalska zapytała, czy chciałabym chodzić do szkoły, a gdy odpowiedziałam, że bardzo, postanowiła porozmawiać z moimi rodzicami. Rozmawiała tak skutecznie, że od drugiego półrocza zaczęłam chodzić do pierwszej klasy. Byłam najmłodszą, bardzo pilną i bardzo szczęśliwą uczennicą.

W tej małej szkółce pokochałam język polski i bardzo dobrze opanowałam ortografię. Udzielałam nawet kolegom korepetycji.

Gdy skończyłam szkółkę w Chotyńcu, poszłam wraz z innymi dziećmi do dalszych klas w szkole podstawowej w sąsiednim miasteczku. Ta mała szkoła tak dobrze nas wyedukowała, że w tej nowej nauczyciele byli zaskoczeni naszym poziomem wiedzy.

W podstawówce było dwudziestu chłopców i tylko trzy dziewczynki. Chłopcy zapamiętale grali w piłkę nożną, a ponieważ chcieliśmy mieć z nimi dobre kontakty, nie było innej drogi, jak granie razem w piłkę. Moja przygoda z piłką nożną ciągnęła się przez całą podstawówkę i przeniosła do szkoły średniej, w której była sekcja żeńskiej piłki nożnej.

Po podstawówce miałam dylemat, jaką szkołę średnią wybrać, bo jeszcze nie bardzo wiedziałam, co będę chciała w życiu robić. Babci obiecałam, że zostanę lekarką i będę ją leczyć. Potem zmieniłam zdanie. Postanowiłam, że zostanę nauczycielką i tak jak pani Teresa Nasalska będę uczyła dzieci. Wybrałam więc Liceum Ogólnokształcące im. Adama Mickiewicza w Radymnie i zamieszkałam w internacie.

Ku mojemu zaskoczeniu trafiłam do klasy matematyczno-fizycznej, a te akurat przedmioty, choć zawsze miałam z nich oceny bardzo dobre, nie były moimi ulubionymi. Pewnie o tym nie wiedział mój wychowawca, wicedyrektor liceum, który skład swojej klasy ustalał na podstawie świadectw. Miał ten przywilej, że wybierał uczniów z najlepszymi ocenami i nie musiał wiedzieć, że ja do pasjonatów matematyki i fizyki nie należę. Moją pasją, dzięki pani Nasalskiej, był język polski.

W liceum, tak jak wszyscy w tamtych czasach, uczyłam się języka rosyjskiego i startowałam w olimpiadach. Byłam nawet laureatką olimpiady ogólnopolskiej i w nagrodę wraz z innym laureatami pojechałam tak zwanym pociągiem przyjaźni na wycieczkę do ZSRR. Do Lwowa.

Pamiętam, że poszliśmy na plac Mickiewicza na Starym Mieście we Lwowie złożyć wiązankę kwiatów pod pięknym, ale bardzo zaniedbanym pomnikiem Adama Mickiewicza. Kolumna stała za ogrodzeniem z grubych łańcuchów, pod którymi musiałam przejść, bo mnie przypadł zaszczyt złożenia kwiatów pod kolumną, i zrobić to według wskazań naszej opiekunki bardzo szybko, bo – jak mówiła – byliśmy obserwowani. Nigdy nie powiedziała nam przez kogo i dlaczego, ale czuliśmy, że przy pomniku naszego wieszca wisiało w powietrzu coś niedobrego. Coś, co stawiało w naszej świadomości znak zapytania nad tym pociągiem przyjaźni, którym w nagrodę przyjechaliśmy do bratniego, jak się wówczas mówiło, Związku Radzieckiego.

Zwiedziliśmy lwowską starówkę, wróciliśmy do hotelu Intourist, w którym czekała nas niespodzianka. Zostaliśmy kompletnie okradzeni, co nam do reszty zastruło pobyt we Lwowie.

Z mojego domu w Chotyńcu wyniosłam pewnego rodzaju pewność siebie. Może dlatego, że byłam otaczana miłością, że w domu panowała atmosfera wzajemnego zaufania, nie bałam się żadnych wyzwań i potrafiłam oceniać sytuację. Nawet wtedy, gdy uważałam, że jakieś wyzwanie może być dla mnie ryzykowne, podejmowałam je, by się przekonać czy sprostam.

Mazowsze

– Nie będę opowiadała o studium nauczycielskim i późniejszych studiach, zostawiam rodzinne Podkarpacie, do którego zawsze chętnie wracam, bo chcę opowiedzieć, jak znalazłam się na Mazowszu. Życie, jak wiadomo, jest autorem zaskakujących scenariuszy i ten, który napisało dla mnie, był właśnie taki.

Było upalne lato 1987 roku. Wakacje. Czternastego lipca wybrałyśmy się z siostrą do znajomych taty z Warszawy, którzy mieli nam pokazać stolicę. Zabrali nas na Powązki, by opowiedzieć o cmentarzu.

Po zwiedzaniu Powązek poszliśmy na lody do kawiarni Wenecja. Przy sąsiednim stoliku siedział samotny młody człowiek, który pił kawę i coś tam sobie liczył. W pewnym momencie wstał, podszedł do naszego stolika i pożyczył od pana Zbyszka, czyli znajomego taty, zapalniczki. Zapalił papierosa, oddał zapalniczkę, wrócił do swojej kawy i znowu coś liczył.

Po jakimś czasie znowu przyszedł pożyczyć zapalniczkę i wtedy pan Zbyszek powiedział, żeby sobie zapalniczkę wziął i nie oddawał. Gdy wychodziliśmy z kawiarni, jeszcze raz podszedł do znajomego taty, coś mu opowiadał i zaczął wypytywać o mnie.

Nikt z nas nie przywiązywał wagi do tego przypadkowego spotkania i pewnie wszyscy by o nim zapomnieli, ale pewnego dnia w moim mieszkaniu zadzwonił telefon. Dzwonił pan od zapalek.

Z tym panem od zapalek jesteśmy już ponad trzydzieści lat razem. To mój mąż Karol, który złożył mi niespodziewaną wizytę w Chotyńcu. I tak zaczęła się nasza znajomość. We wrześniu tego samego roku jako nauczycielka języka polskiego rozpoczęłam pracę w szkole podstawowej na ulicy Noakowskiego przy Politechnice Warszawskiej i nasza znajomość przybrała poważniejszy charakter. Potem podjęliśmy decyzję, że chcemy być razem, i zaczęła się debata, gdzie będziemy mieszkali.

Karol chciał mieszkać w Warszawie. Ja, urodzona i wychowana na wsi, o Warszawie nie marzyłam, a tym bardziej o mieszkaniu w bloku. Rodzice Karola chcieli, byśmy zamieszkali w Woli Gołkowskiej, bo tu mieli gospodarstwo i mieszkali od pokoleń. Mama nawet przepisała na męża działkę.

W końcu mąż zdecydował, że kupi działkę i wybuduje dom. Ja w tym czasie przeczytałam ogłoszenie, że w szkole w Żabiej Woli poszukują nauczyciela. Zgłosiłam się, zostałam dyrektorem szkoły i gminnym inspektorem oświaty. Skoro tam miałam pracę, to Karol zdecydował, że najlepiej będzie, jeśli kupi działkę w Żabiej Woli i tam wybuduje dom.

Wszystko już było postanowione, ale jak to w życiu bywa, los miał dla nas inny scenariusz. Mama męża uparła się, że Karol musi mieszkać w Woli Gołkowskiej. I tak się stało. Zamieszkaliśmy w Woli Gołkowskiej.

W tym czasie na blisko rok wzięłam urlop w szkole i wyjechałam do Anglii, by uczyć się języka. To był

**...gdy będę na emeryturze,
będę robiła tylko to, co lubię**

początek lat dziewięćdziesiątych, u nas było biednie, szaro i smutno, a w Anglii, w Londynie był inny, bogaty, kolorowy świat. Gdy wróciłam, rozplakałam się na lotnisku. Tam komórkowe telefony, u nas telefoniczne budki i szary papier, w który zapakowano mi na Okęciu prezenty. Zastanawiałam się, czy kiedykolwiek będzie u nas jak w Anglii, i nie miałam na to żadnej nadziei.

Po powrocie znalazłam ogłoszenie o pracy w Urzędzie Gminy Lesznowola. Zgłosiłam się na rozmowę i zostałam kierownikiem Urzędu Stanu Cywilnego. Tak się zaczęła moja trwająca blisko trzydzieści lat przygoda z Lesznowolą. Wójtem zostałam w 1998 roku. Mam więc za sobą pięć kadencji, z których jestem zadowolona.

Kampania pomówień

– Przez tyle lat zdążyłam się przyzwyczaić do tego, że gdy zbliża się czas wyborów, do głosu dochodzi opozycja. I to jest w demokracji stan normalny. Opozycja ma prawo do krytyki, ma prawo forsować swoich kandydatów. Trudno mi jednak zaakceptować brudną kampanię pomówień.

Nisko oceniam ludzi, którzy nie znają słowa „przyzwoitość”, nie grają fair i do takich metod się posuwają. Mijająca kadencja była pod tym względem, mówiąc delikatnie, wyjątkowa.

W ciągu kończącej się kadencji różne instytucje do tego uprawnione, na skutek doniesień, przeprowadziły w urzędzie gminy więcej kontroli, niż przez wszystkie poprzednie lata. Wszystkie kontrole zakończyły się wynikiem dla urzędu pozytywnym. W jednym wypadku sprawę ze względów proceduralnych skierowano do oceny prokuratury, a dotyczy ona między innymi umorzeń podatkowych. Postępowanie wyjaśniające toczy się w sprawie, a nie przeciw jakiegokolwiek osobie.

Umorzenie na kwotę dwa miliony sześćset tysięcy złotych dotyczyło okresu pięciu lat i obejmowało siedemnaście podmiotów prowadzących działalność gospodarczą na terenie naszej gminy. Pragnę podkreślić, iż umarzam również podatki ludziom z uwagi na ich sytuację materialną czy losową.

Informacje powielane przez moich oponentów, kolportowane szeptanką i przekazywane do organów kontrolnych, mówiły o tym, że taką kwotę umorzyłam firmom z Wólki Kosowskiej, co jest ewidentną nieprawdą.

W związku z różnymi pomówieniami pod moim adresem i adresem samorządu gminy wystąpiliśmy przeciw autorom pomówień na drogę sądową i złożyliśmy pozew o naruszenie dóbr osobistych gminy. W sądzie pierwszej instancji sprawę wygraliśmy, co jest świadectwem obiektywnej oceny naszej pracy.

Decyzja

Kiedy w czerwcu 2016 roku rozmawiałem z Marią Jolantą Batycką-Wąsik i zapytałem, co zdecydowało o tym, że w 1998 roku podjęła decyzję, by kandydować na wójta naszej gminy, odpowiedziała: „Przekonanie, że można zmieniać świat”. Od tamtego dnia minęło dwadzieścia lat.

– Zastanawiałam się, czy kandydować w zbliżających się w październiku wyborach, czy – jak to się mówi – podziękować i pięknie ze sceny zejść – mówi pani Batycka. – To nie była łatwa decyzja. O kandydowaniu zdecydowało poczucie obowiązku i odpowiedzialność za to, co zaplanowaliśmy wspólnie z samorządem gminy zrobić. Rozpoczęliśmy kilka strategicznych projektów dla przyszłości gminy i jej mieszkańców i wypada wziąć odpowiedzialność za ich realizację, a nie uznać, że wszystko już zrobiłam i mogę ze spokojem odejść. Wymienię kilka.

Szczególnie ważna jest dla mnie sprawa gruntów w Mysiadle. Przez długi czas zabiegaliśmy o ich komunalizację, a gdy udało się to przeprowadzić i załatwić wszystkie podstawy prawne, został sporządzony bardzo ciekawy plan ich zagospodarowania.

Część gruntów jest w tym planie przeznaczona pod działalność gospodarczą, co da zatrudnienie ludziom i przysporzy środków finansowych w budżecie gminy. Zdecydowana większość terenu jest przeznaczona pod infrastrukturę społeczną dla mieszkańców. Na park, akwen wodny, obiekty z zakresu kultury i rekreacji. Jeśli uda nam się rozwiązać wszystkie problemy własnościowe, bo pojawiły się pewne roszczenia do części gruntów, to zrealizowanie tego projektu będzie wielką wartością dla gminy i jej mieszkańców, a dla mnie wielką satysfakcją. Uznałam, że już dla realizacji tego przedsięwzięcia warto kandydować na wójta.

Kolejna sprawa to budowa na terenie gminy kampusu nowoczesnych technologii technicznych. Gmina nie jest w tym przedsięwzięciu partnerem realizacyjnym, bo to alians pomiędzy Politechniką Warszawską i prywatnymi przedsiębiorcami, ale ta ważna inwestycja powstanie u nas. Przewiduje ona między innymi budowę średniej szkoły technicznej, co szczególnie zainteresuje młodych mieszkańców gminy.

Trzeci strategiczny dla przyszłości gminy projekt, którego realizację chcę koordynować, to budowa obwodnicy, o którą zabiegaliśmy od wielu lat. Mamy już decyzję środowiskową, która jest takim milowym krokiem do realizacji projektu. Gmina sfinansowała koncepcję jej przebiegu do decyzji środowiskowej i zobowiązaliśmy się do wykupu dwudziestu pięciu procent gruntów niezbędnych dla budowy obwodnicy. Sfinansowaliśmy też budowę ronda w Sękocinie, które będzie przejmowało potok samochodów z obwodnicy i transferowało na obwodnicę Raszyna i drogę krajową.

I wreszcie czwarty aspekt mojej decyzji o kandydowaniu na wójta, to budowa drogi krajowej S7. Wprawdzie to nie my realizujemy inwestycję, ale wynegocjowaliśmy w Generalnej Dyrekcji Budowy Dróg Krajowych i Autostrad budowę dodatkowego węzła komunikacyjnego w Zamieniu. Jeden będziemy mieli w Lesznowoli, a drugi w Zamieniu, co wpłynie na wartość nieruchomości wokół węzła i nową jakość życia mieszkańców, bo otworzy nowe tereny inwestycyjne.

Tego wszystkiego chcę jako wójt dopilnować. Uważam to za swój obowiązek.

**...nisko oceniam ludzi,
którzy nie znają słowa
„przyzwoitość”**



Praca w samorządzie gminnym jest zawsze pracą zespołową. Dlatego wyborcy, wybierając swoich przedstawicieli do samorządu, mają ogromny wpływ na jakość takiego zespołu. Od tej jakości, na którą składa się zrozumienie potrzeb mieszkańców, chęć współpracy, umiejętność przyjęcia sposobu myślenia innych członków zespołu i spojrzenia z ich perspektywy na rzeczywistość, a także znajomość uwarunkowań, w jakich przyjdzie zespołowi pracować, zależy rozwój Lesznowoli w kolejnych pięciu latach. Myślę, że warto o tym pamiętać w dzień wyborów. Jestem przekonana, że wyborcy już wiedzą, kogo wybiorą i mam nadzieję, że będzie to dobry wybór dla naszej gminy. ■

Dokąd lecimy



Gdy na niebie zobaczycie Boeinga 787 z charakterystycznie skośnymi skrzydłami, czyli Dreamlinera, nie jest wykluczone, że za jego sterami będzie siedział kapitan pilot Jacek Pawlak, mieszkaniec Lesznówoli. Lata na tych samolotach od chwili, gdy znalazły się w liniach lotniczych PLL LOT. Tuż przed spotkaniem z nami wrócił z Toronto.

Padał deszcz. Trattoria, w której się umówiliśmy, była jeszcze zamknięta, więc pan Jacek zaproponował krótki objazd samochodem po okolicy. Pokazywał, gdzie mieszkali jego dziadkowie, gdzie dorastał i chodził do szkoły. Objechaliśmy Bobrowiec, Kamionkę, Zalesie, Gołków. Stąd dotąd ciągnęły się ziemie dziadków, tu było kółko rolnicze, tu stacja kolejki wąskotorowej i glinianki przy cegielni, gdzie uczył się pływać.

Wycieczka w przeszłość

– Trudno uwierzyć, że tu kiedyś były cztery bocznice kolejowe i stały pociągi – wspomina pan Jacek. – Jak się dziś patrzy na to miejsce, to się człowiek zastanawia, jak zmieścił się jeszcze kiosk, sklep i dom, w którym mieszkały chyba ze dwie rodziny. Kolejka jeździła

fot. z archiwum prywatnego Jacka Pawlaka

do Nowego Miasta nad Pilicą. Tam była druga linia do cegielni, z której wożono cegły do Warszawy, a dalej, gdzie jest ten zielony dach, był dom mojego stryja w miejscowości Gołków Letnisko.

Topola, obok której było miejsce zabaw miejscowej dzieciarni, jak stała, tak ciągle stoi. Okolica była bezpieczna, a jedynym niebezpieczeństwem, przed którym ostrzegała mnie mama, była zabawa przy torach kolejki.

Odkąd pamiętam, pociągały mnie wyprawy. Pierwszą zrobiłem z kolegą, gdy miałem pięć lat. To była wyprawa rowerem do Jeziorki, gdzie mieliśmy się kąpać. Ponieważ jednak rzeka była daleko od głównej drogi, wykopaliliśmy się w przydrożnym rowie. Wycieczka nie skończyła się dla nas dobrze, bo spanikowani rodzice dość długo nas szukali, a gdy odnaleźli, przyjemnie nie było. My jednak byliśmy z wyprawy zadowoleni.

Gdy umarł dziadek, rodzina sprzedała dom, babcia przeniosła się do swojej córki w Gołkowie, a moi rodzice do drugiej babci w Lesznówoli. Byłem wtedy w trzeciej klasie szkoły podstawowej. Potem przeprowadziliśmy się do Piaseczna i tam skończyłem podstawówkę.

*...celem moim jest droga,
a nie punkt, do którego
chcę dojechać*

Po podstawówce miałem krótki epizod z liceum lotniczym w Dęblinie, bo chciałem zostać lotnikiem. Mówię „krótki epizod”, bo choć zdałem egzaminy i zostałem przyjęty, to zabawiłem w liceum tylko dwa miesiące. Tak naprawdę przekonałem się, że w tym liceum, które istniało dopiero drugi rok, a był to rok 1973, nie jest tak różowo, jak miało być. Po pierwsze, nie było latania. Dlatego, gdy przyjechałem po dwóch miesiącach na przepustkę do domu, powiedziałem mamie, żeby mnie z tej szkoły zabrała, bo jak mam zostać orłem przestworzy, to jeszcze zdążę.

W Dęblinie i Zielonej Górze były czteroletnie szkoły ukierunkowane na szkolenie pilotów, którzy potem szli do szkoły oficerskiej. Ja chciałem latać w lotnictwie cywilnym.



Zapisałem się do Aeroklubu Warszawskiego. Dość szybko przeszedłem szkolenie, bo już po wakacjach 1974 roku miałem zdaną licencję pilota szybowcowego i srebrną odznakę szybowcową. W lotnictwie, mimo zwiększającego się w Polsce kryzysu, panował jeszcze złoty wiek, więc zdążyłem się załapać na dobrą fazę.

W aeroklubie spędziłem cztery lata i bardzo dużo jak na tamte czasy latałem. Latałem dla przyjemności. Zostałem zawodnikiem kadry juniorów i ścigałem się, latając na szybowcach Cobra i Pirat. Gdy kończyłem latać, do szybownictwa wchodził Jantar standard – polski, jednomiejscowy szybowiec wyczynowy. Złotą odznakę szybowcową zrobiłem, latając na szybowcach Mucha i Pirat.

Po tej szybowcowej przygodzie dostałem się na Politechnikę Rzeszowską na wydział mechaniczny ze specjalnością pilotażu i przez pięć lat – nie, trochę dłużej, bo przecież w 1981 roku ogłoszono stan wojenny i studenci musieli opuścić akademik, by zrobić miejsce oddziałom ZOMO – studiowałem. Po studiach zdążyłem kilka miesięcy przepracować w WSK na Okęciu i zostałem powołany do wojska, do SPR, czyli Szkoły Podchorążych Rezerwy.

Pół roku byłem w szkole w Zamościu, a drugie pół jako technik klucza w pułku szkolnym w Modlinie na samolotach szkoleniowych Lim 2 i Lim 5. Po szybowcowej praktyce i studiach w Rzeszowie, byłem przygotowany do uzyskania licencji zawodowej.

Muszę powiedzieć, że ten okres wspominam z wielkim sentymentem, bo to był czas spędzony wśród wspaniałych ludzi. Wspaniałych, doświadczonych w różnych rodzajach lotnictwa instruktorów, którzy dbali o nas jak o własne dzieci. My mieliśmy po dwadzieścia lat, a oni byli w wieku naszych rodziców. Stosunki instruktor – uczeń układały się tak dobrze, że do dziś z kolegami wspominamy naszych nauczycieli.

Moje latanie

– Po wojsku spełniło się moje marzenie z dzieciństwa – opowiada kapitan Jacek Pawlak. – Dostałem się do pracy w Polskich Liniach Lotniczych LOT i zacząłem trwającą do dziś karierę pilota samolotów pasażerskich.

Latanie zaczęło się od podstawowego wtedy w PLL LOT radzieckiego samolotu An-24. Na antonowie przelatałem pięć i pół roku i poleciałem do Rosji na szkolenie do Akademii Lotniczej w Uljanowsku. Bardzo dobrze wspominam ten czas, bo miałem do czynienia z dobrze wyszkolonymi, przyjaznymi ludźmi, którzy byli fachowcami w każdym calu. Siedem miesięcy szkoliłem się na antonowach. To było takie zderzenie młodego pilota z rzeczywistością liniową od drugiej strony. Dziś, wspominając tamten czas, dziwię się, że Rosja, mając świetnych fachowców, tak słabo stoi na rynku

lotniczym w przeciwieństwie do Ameryki. Ale Rosja ma świetnych fachowców, a Ameryka świetne procedury i organizację pracy, a to robi wielką różnicę.

Potem przyszedł okres lotów na samolocie Tu-154. Po pół roku szkolenia zacząłem latać jako drugi pilot, a po kolejnych ośmiu miesiącach, po wylataniu dwustu pięćdziesięciu godzin, awansowałem na stopień kapitański.

Po tupolewach przyszedł czas boeingów. Najpierw w 1989 roku do PLL LOT trafił Boeing 787.

Na przełomie 1991-1992 roku poleciałem z kolegami na szkolenie do Seattle, do zakładów producenta tych największych samolotów pasażerskich. To był czas wycofywania z naszych linii lotniczych radzieckich samolotów Il-18, TU-154, An-24.

W 1992 roku zaczęła się w PLL LOT era małych boeingów, na których latałem przez kolejne pięć i pół roku, a następnie przesiadłem się za stery boeingów dużych: Boeinga 767, a od kiedy wszedł do naszej floty Boeing 787 Dreamliner, latam na tym samolocie i chyba na inny już się nie przesiądę.



Ojciec i syn

– Mój syn, Łukasz, który urodził się w 1979 roku, też jest pilotem. Tak jak ja latał na szybowcach i tak jak ja skończył Politechnikę Rzeszowską. Sportowo lata na małych samolotach i startuje w mistrzostwach Polski i mistrzostwach świata, a zawodowo lata na samolotach typu bombardier. Są to produkowane w Kanadzie samoloty pasażerskie o napędzie turbośmigłowym, z których pierwszy trafił do Polski 17 maja 2012 roku.

Nie umiem powiedzieć, czy lataniem zaraził się ode mnie, bo od dziecka bardzo interesował się transportem. Pamiętam, że chciał być kolejjarzem i prowadzić pociąg, a potem chciał być kierowcą. Z tym prowadzeniem pociągu było nawet tak, że mój kolega, który jest kolejjarzem, udostępnił mu odpowiednie podręczniki, w których były instrukcje, jak się prowadzi elektrowóz. Kiedy był studentem, udało mu się nawet poprowadzić elektrowóz, co wywołało zachwyty maszynistów.

Jeśli zaś chodzi o chęć pozostania kierowcą, to na studiach Łukasz skończył półroczny kurs dla kierowców autobusów MZK i do dziś dwa razy w miesiącu jeździ autobusem. To jest jego hobby. Tak więc jeździ autobusem, lata zawodowo jako pilot, startuje z sukcesami jako sportowiec w zawodach samolotowych w kraju i na świecie.

Nie rozmawiamy o pracy. Mamy cały szereg innych, ciekawych tematów, a poza tym, tak jak z państwem trudno mi było z racji obowiązków się spotkać, tak z Łukaszem nie widujemy się często. Czasem jest tak, że gdy ja ląduję, on właśnie startuje albo odwrotnie.

Ostatnio, jak wspominałem, byłem w Toronto, ale żeby odpowiedzieć na pytanie, gdzie byłem, musiałem się chwilę zastanowić (*śmiech*). Tak to już jest, że zaczyna działać pewien automat. Start, lądowanie, odpoczynek, oczekiwanie na start, lądowanie i od początku.

Kiedyś na przejściu przez kontrolę graniczną strażnik zapytał mnie: „Dokąd pan leci?” (*śmiech*). Zatrzymałem się i musiałem przez chwilę pomyśleć, skupić się i zapytać samego siebie: „Dokąd ja właściwie teraz lecę?”

Wśród nas, pilotów, opowiadamy taki żart. – Co ma wiedzieć kapitan? – Kapitan ma wiedzieć, gdzie jest jego drugi pilot. – A co ma wiedzieć drugi pilot? – Całą resztę (*śmiech*). I to jest tak, jak z odpowiedzią na pytanie: dokąd pan leci. Drugi pilot wie to na pewno.

To jest oczywiście żart, ale świat naprawdę zmałał. Wszystko zależy od tego, z jakiej perspektywy na wszystko się patrzy. Dawniej na pewno więcej lataliśmy.

Moja filozofia

– Bez względu na to, jakby to nie zabrzmiało, ja żyję dla drogi – opowiada pan kapitan. – Nie dlatego, żeby gdzieś konkretnie jechać, tylko żeby jechać. Celem moim jest droga, a nie punkt, do którego chcę dojechać. Tak jest, gdy jadę samochodem, i tak jest, gdy lecę samolotem. Jeśli jestem gdzieś dłużej niż cztery dni, zaczyna mi się bardzo nudzić. Może to wynika z tego, że przyzwyczałem się do prędkości podróży, że zmieniam często miejsca postoju, strefy klimatyczne, noc miesza się z dniem i cały czas coś się dzieje. Nie wykluczam, że jest to już rodzaj takiego swoistego uzależnienia od czynników, które wymieniłem.

Jest taka książka „Los jest myśliwym”, której autorem jest Ernest Kellogg Gann, rozmówiony w swoim zawodzie amerykański pilot samolotu pasażerskiego. Jego autobiograficzna

...jak nie można się najeść na zapas, tak nie można na zapas się wyspać

powieść, obejmująca czas powstawania i formowania się lotnictwa pasażerskiego, które w dwudziestolecie międzywojennym i w czasie II wojny światowej przekształciło się w potęgę, przez wielu pilotów traktowana jest jak „lotnicza biblia”. Przywołuję ją w tym miejscu, bo od opisywanych przez autora czasów w lotnictwie wiele się zmieniło.

Technika poszła do przodu, otoczenie jest inne, zmieniły się procedury, weszły komputery, ale nie zmieniło się jedno: rozterki, myśli, jakie przychodzą pilotowi, człowiekowi wykonującemu ten zawód, do głowy. To się nie zmienia. Tak samo człowiek budzi się w nocy, leży w jakimś hotelu, patrzy w sufit i zastanawia się: co ja tu właściwie robię? Gdzie ja właściwie jestem? Przeżywam dokładnie to, co przeżywał bohater książki. Też budzę się w nocy i zastanawiam, gdzie jestem. To samo przeżywa większość pilotów.

Mimo to, nie zamieniłbym mojego zawodu na inny. To, o czym przed chwilą powiedziałem, nie jest jakimś objawem negatywnym. To doskwiera tylko wtedy, gdy człowiek jest zmęczony, niewyspany i musi iść na lot, bo tak jak nie można się najeść na zapas, tak nie można na zapas się wyspać. I wtedy człowiek trochę narzeka, ale gdy mu tego wszystkiego brakuje, jest jeszcze gorzej.

Nie specjalnie pamiętam swój pierwszy rejsowy lot, ale bardzo dobrze pamiętam lot za ocean do Seattle, choć wtedy leciałem jako pasażer. Lot był z Warszawy do Chicago, a potem z Chicago do Seattle. Byliśmy w kabinie pilotów, gdy samolot znalazł się nad Chicago. To, co zobaczyłem w dole, zrobiło na mnie niezapomniane wrażenie. W życiu nie widziałem tylu światła, choć byłem już doświadczonym pilotem, bo latałem po Europie, latałem nad Azją i Afryką, ale żadne miasto nie było tak wielkie jak Chicago. Noc była piękna, pogodna i od Milwaukee po kraniec Jeziora Michigan na tak ogromnej przestrzeni paliła się niewyobrażalna ilość światła. Niesamowite wrażenie.



Leciałem do Seattle ciekawym Ameryki. Po kilku miesiącach ze smutkiem stwierdziłem, że w Ameryce nie jest tak różowo, jak sobie wyobrażałem. Przestałem być Ameryką zachwycony. Życie tam ładnie wyglądało na filmach i zdjęciach. A rzeczywistość była dość smutna i monotonna. Praca, praca i praca. Brak wolnego czasu, ogólny kierat i w pewnym sensie niewolnicze życie. Tam młody człowiek dostawał wszystko na kredyt, potem całe życie pracował, by go spłacić, i gdy przychodził czas emerytury, stwierdzał, że niczego nie ma.

Dawniej były loty, gdy w kabinie pasażerskiej kapitan miał swoje miejsce do spania, a obok siedział pasażer. Kiedyś usiadła obok mnie sympatyczna pani, nie pamiętam już w Toronto czy Chicago, i zaczęliśmy rozmowę. Okazało się, że była kiedyś stewardesą w PLL LOT, a teraz mieszka w Dolinie Krzemowej. Zaczęła opowiadać, że ma dom za szesnaście milionów dolarów, basen, że mąż jako inżynier zarabia kupę kasy, mają super samochody i tak dalej, a leci do Warszawy, bo mama ma na Pradze małe, czterdziestometrowe mieszkanie na ósmym piętrze i chce na nią to mieszkanie przepisać.

Pomyślałem, że coś mi tu nie pasuje. Dom za szesnaście milionów, dobrobyt i lot do Warszawy w sprawie klitki na ósmym piętrze w bloku na Pradze?

„Rozumiem, że pani chce mieszkać na starość w Polsce, więc niech pani sprzeda tamten dom w Krzemowej Dolinie i kupi w Polsce jakiś pałacyk lub wybuduje willę” – podrzuciłem nieśmiało.

A pani na to, że przeżyła w Ameryce różne fale. Miała przedszkole, ale jak przyszedł kryzys, to najpierw zwalniali z pracy matki, więc matki nie posyłały dzieci do przedszkola i musiała przedszkole zamknąć. Potem została fryzjerką, ale jak mężowie zaczęli tracić pracę, to żony nie przychodziły do fryzjera i zakład trzeba było zamknąć.

– Z majątkiem też jest tak – mówiła dawna stewardesa – że jak mąż miał dobrą pracę, to musieliśmy mieszkać w lepszej dzielnicy. Kupiliśmy dom na kredyt, który spłaciliśmy w czterdziestu procentach i do końca życia będziemy spłacali resztę. Tak naprawdę, wszystko co mamy, nie jest nasze. My to tylko chwilowo użytkujemy.

– Niestety, tak wygląda amerykańska rzeczywistość – pomyślałem. Dlatego mieszkanie na ósmym piętrze w bloku na Pradze jest tak cenne, bo będzie własne.

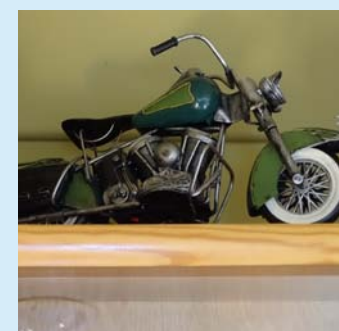
Historia, moje hobby

– Od ćwierć wieku interesuję się historią. W pewnym momencie stwierdziłem, że trzeba czegoś więcej dowiedzieć się o swoim państwie, o królach, o swojej okolicy i od tego zacząłem. Im bardziej zacząłem się wgłębiać w historię, tym ze smutkiem stwierdziłem, że niewiele wiem. I to był powód, dla którego zacząłem bardzo poważnie zajmować się historią. Studiowanie historii i historii pieniądza otwiera oczy na wiele zjawisk. Teraz, jak jeżdżę z wnukiem, bo mam jedenastoletniego wnuka, to poznajemy historię różnych miejsc w Polsce. Jedziemy na przykład Szlakiem Orlich Gniazd i poznajemy historię grodów obronnych, które wzniesiono w okresie drugiego tysiąclecia, by chronić szlaki handlowe w tworzącym się państwie piastowskim. Poznajemy Szlak Piastowski, jadąc przez Pałuki i trzy grody stołeczne z okresu wczesnopiastowskiego: Poznań, Gniezno i Kruszwicę.

Mam satysfakcję, że wnuk to, co mu chcę zaszcześcić, chętnie przyjmuje. Kiedyś jeździłem tylko po Polsce i motocyklem do Rosji. Związałem się ze stowarzyszeniem Międzynarodowy Motocyklowy Rajd Katyński, które od 2001 roku organizowało odwiedzanie miejsc związanych ze zbrodnią katyńską i historią Polski na Kresach Wschodnich. Moje motocyklowe wyprawy wyhamował wypadek, jaki miałem na motocyklu i zacząłem jeździć samochodem. Teraz odkryłem Bałkany.

Uważam, że gdyby nasi rządzący trochę poczytali, gdyby zagłębili się w historię, doszliby do wniosku, że wszystko już było. Historia, jak wiemy, kołem się toczy. Wystarczy tylko poczytać i nie robić tych samych błędów, które już kiedyś zostały zrobione.

W lotnictwie uczymy się na błędach, w polityce popelnia się te same błędy i nie wyciąga wniosków. Dlatego od polityki jestem jak najdalej. ■



...w lotnictwie uczymy się na błędach, w polityce popelnia się te same błędy i nie wyciąga wniosków



Wrześniowy

SAD

Każdy, kto z alei Krakowskiej skręci na drogę do Jastrzębca, tuż przed tablicą „Garbatka” zobaczy jabłoniowe sady. Teraz, we wrześniu, wyglądają przepięknie oblepione kolorowymi owocami. Wierzyć się nie chce, że uginające się pod ciężarem owoców gałęzie smukłych jabłoni wytrzymują ten ciężar wybarwiających się jablek.

Bramy do sadów państwa Smuniewskich są otwarte, bo – jak mówi pan Andrzej – więcej szkody robi amator cudzych jablek, gdy przetnie ogrodzenie, niż wejdzie przez bramę i narwie jablek do siatki.

– Dużo nam nie ubędzie – mówi ze spokojem sadownik i z zadowoleniem wymienia posadzone w równych rzędach odmiany.

W Woli Mrokowskiej państwo Smuniewscy są od czterdziestu sześciu lat.

– Tu kupili ziemię rodzice – mówi pan Andrzej – i ja jako ten z trójki rodzeństwa, który miał przejąć po rodzicach gospodarstwo, zostawiłem swoje strony i przyjechałem osiedlać się i zaczynać wszystko od nowa.



Moje Koryciany

– Rodzice mieli spore, bo trzydziestohektarowe gospodarstwo we wsi Koryciany w gminie Paprotnia. To jest wieś w powiecie siedleckim. Tam się urodziłem i wychowywałem. Tam mieszkali moi dziadkowie.

fot. z archiwum prywatnego
J. i A. Smuniewskich



Dlaczego zostawili gospodarstwo, dobre ziemie i ruszyli w nowe, nieznane miejsce? Bo tam nie było ludzi do pracy. Choćby poszedł do sąsiada i z płaczem prosił, by pomógł coś w polu zrobić, nie pomógł. Tam nie było takich przyjezdnych „łaziorów” jak tu, których można było zatrudnić.

Dopóki rolnicy w Korycianach nie mieli w gospodarstwach maszyn i sprzętu, to jeden drugiemu pomagał, przysługę przychodził odrobić i jakoś się dawało radę. Później już o tym nie było mowy. Samych ziemniaków sadziliśmy prawie dziesięć hektarów, więc było się przy czym narobić.

Dwójka mojego rodzeństwa wcześniej uciekła z Korycian do Warszawy, a ja jako najmłodszy musiałem robić w polu. Ciągle groziłem, że też się udam na emigrację, a raz to nawet zastrajkowałem – śmieje się pan Andrzej. – Rzuciłem gospodarstwo i poszedłem na dwa tygodnie pracować z geodetami z przedsiębiorstwa Geoprojekt.

Pamiętam, że ze wsi gdzieś około pierwszego grudnia pojechaliśmy do roboty trzech. Wróciliśmy po świętach Bożego Narodzenia i ja już przestałem strajkować. Kolega jednak wrócił do Geoprojektu, zarobił parę złotych i w czerwcu przyjechał do mnie do Korycian. Chciał, żebym pojechał z nim do Warszawy na giełdę samochodową, która wtedy była na Okęciu, bo zamierzał kupić motocykl.

Przyjechałem z tym Józefem na Okęcie, poszliśmy na giełdę, a tam ruch większy niż na dworcu. Jedni sprzedawali, drudzy kupowali, a jeszcze inni, których na kupno samochodu czy motocykla nie było stać, chodzili jak na deptaku. Udawali, że chcą coś kupić, dogadywali, oglądali. Wielu przyjeżdżało na Muszkieterów całymi rodzinami, by pooglądać zagraniczne używane samochody i motocykle, pomarzyć o własnym pojeździe, bo to były lata obowiązywania przydziałów i przedpłat.



Wśród tego tłumu my dwaj, Józef z gotówką w aktówce i ja jako doradca. Długo nie szukaliśmy. Józef kupił wymarzoną czeską jawę, taką, jaką miałem ja, a potem wpadliśmy na obiad do mojej siostry, która mieszkała w Warszawie na Waliców. W czasie obiadu zapytałem szwagra, czy nie znalazł jakiegoś gruntu, który jest do kupienia, bo mamy zamiar wynieść się z Korycian.

Szwagier wyciągnął gazetę z ogłoszeniami i pokazał jedno, które mnie zainteresowało. Zostawiłem więc Józefa i ze szwagrem motocyklem pojechaliśmy do Woli Mrokowskiej, do gospodarza, który nazywał się Kolmus i dał ogłoszenie o sprzedaży gospodarstwa. Pogadaliśmy, co i jak, i z tymi wiadomościami wróciłem do Korycian.

Dzisiaj już nie pamiętam, czy na giełdzie byłem w sobotę, czy w niedzielę, ale tak się zapaliłem do tego ogłoszenia, że w poniedziałek przyjechaliśmy z rodzicami obejrzeć gospodarstwo w Woli Mrokowskiej. Był tam nieduży dom, mała stodołka, jakiś warsztat naprawy rowerów, który prowadził syn gospodarza, i ziemia.



Rodzice przyjeżdżali na rozmowy kilka razy i wreszcie zapadła decyzja ostateczna. Trzeba było sprzedać gospodarstwo w Korycianach. To jednak łatwe nie było. Jedni chcieli kupić siedlisko, drudzy siedlisko i trochę



ziemi, jeszcze inni po kawałku gruntu. Nikt nie chciał zawierać umowy notarialnej, bo mówili: „Jak wam się tam nie powiedzie, to tu wróćcie”.

Zaraz po Nowym Roku, chyba w styczniu 1973, zawarliśmy wreszcie z panem Kolmusem umowę i zostaliśmy właścicielami gospodarstwa. Na początku spotkała nas nieprzyjemna niespodzianka, bo w gospodarstwie było pięćdziesiąt uli, a kupowaliśmy wszystko. Pan Kolmus powiedział ojcu, że trzy roje pszczoł trzeba będzie dokarmiać, i ojciec dał mu na to pieniądze. Gdy wiosną pszczoły miały się budzić do życia, okazało się, że wszystkie padły z głodu.

W gospodarstwie był też warsztat, imadło, różne narzędzia i to też wszystko gdzieś wyparowało, a umawialiśmy się, że pan Kolmus wyjdzie z gospodarstwa tylko ze swoją teczką, a ta na imadło była za mała.

Nowe życie

– W Korycianach zostało jeszcze sześć hektarów, które przez rok obrabiałem, jeżdżąc do rodzinnej wsi, a potem już na dobre zaczęło się nasze nowe życie w Woli Mrokowskiej. Zaczęliśmy od półtora hektara pomidorów.

Mówię „zaczęliśmy”, bo zapomniałem powiedzieć, że z Korycian przyjechałem jako kawaler, a sad sadziłem już jako człowiek żonaty i tak naprawdę o tym, że jest sad, zdecydowała Jadwiga, moja żona.

Poznałem ją u znajomych w Tarczynie. Przyjaźniłem się z jednym mieszkańcem Tarczyna, który okazał się mężem kuzynki mojej żony. Pewnego razu pojechałem do tych przyjaciół, a ona przyjechała do ciotki. I tak się poznaliśmy. W 1976 roku wzięliśmy ślub i Jadwiga zamieszkała w Woli Mrokowskiej. Powiedziała od razu,

że powinniśmy posadzić sad, bo dla jabłoni są tu odpowiednie warunki.

Z instytutu w Jastrzębcu kupiłem obornik i zaczęliśmy uprawiać pomidory. Dokupiliśmy jeszcze trochę ziemi i zakontraktowaliśmy w 1976 roku jabłoniowy sad.

Posadziliśmy trzysta drzewek odmiany Idared i w pierwszym roku zebraliśmy sześćdziesiąt cztery dwudziestokilogramowe klatki jabłek pierwszej klasy. Zawiozłem jabłka na przechowanie do sąsiada w Mrokwie, który miał pod szklarnią duży bunkier do kiszenia kapusty. Jabłka w bardzo dobrym stanie przechowały się do marca.

Za sprzedane w marcu jabłka kupiłem piękny opryskiwacz sadowniczy sęła z dużym koszem i jeszcze mi trochę gotówki zostało. Wtedy mówiło się, że sęła jest nie do zdobycia, a ja – ponieważ miałem jabłka zakontraktowane – pojechałem do spółdzielni ogrodniczej w Piasecznie i powiedziałem, że chcę kupić opryskiwacz. W spółdzielni był, jak pamiętam, taki pan Żaba, który sprowadzał maszyny z głównych magazynów, które były w Błoniu.

„No, jak dobrze pójdzie, to może jeszcze dziś będzie – powiedział pan Żaba – ale trzeba złożyć podanie”. Napisałem podanie, lecz potrzebny był na nim podpis naczelnika gminy. Pojechałem do gminy, ale okazało się, że naczelnik jest na urlopie. Nie było rady. Pojechałem do naczelnika. Naczelnikiem w Lesznowoli był wtedy Tadeusz Urbanowicz. Podanie podpisał i koło południa sęła była na moim podwórku.

Ciągnik, czyli Ursusa C-330 pomógł mi przez ZMW zdobyć Stanisław Kiljańczyk, bo wtedy takie były czasy, że na ciągniki też trzeba było mieć przydział.

Potem zastanawialiśmy się, co jeszcze produkować, i doszliśmy do wniosku, że trzeba się zająć uprawami pod szkłem. Na jesieni przyjechał z Łodzi fachowiec, robotnicy ze Starowej Góry i zaczęliśmy stawiać szklarnie.

– W gospodarstwie moich rodziców, w Zalesiu koło Wilkowa w gminie Błędów, był sad i były szklarnie – mówi pani Jadwiga – to miałam trochę praktyki i trochę wiedzy zdobytej na wydziale ogrodniczym SGGW, gdzie przez jakiś czas studiowałam. Na pierwszy rzut postanowiliśmy uprawiać goździki. Postawiliśmy szklarnię i dwa namioty.

– Na część sadzonek kwiatów pożyczaliśmy pieniądze od mojej siostry, a część dostaliśmy bez pieniędzy od ogrodnika w Jankach. Kiedy na jesieni po sprzedaniu jabłek pojechałem na giełdę kwiatową, żeby mu oddać pieniądze, powiedział do mnie: „Ty kup najpierw węgiel na zimę, a potem oddasz pieniądze”. Ten nadzwyczajny człowiek nazywał się Kupis. Całkiem bezinteresownie przyjeżdżał tu do nas, oglądał szklarnie i radził, co powinniśmy zrobić. Dziś takich ludzi już się nie spotyka.

W lutym następnego roku już stawialiśmy drugą szklarnię i przez trzydzieści lat uprawialiśmy kwiaty. Przede wszystkim goździki i gerbery.



By-passy

– Coraz częściej myślimy, że czas dać sobie trochę odetchnąć. Ja mam siedemdziesiąt trzy lata, jestem po operacji serca, mam założone by-passy, to muszę zacząć na siebie uważać – mówi pan Andrzej.

– Pamiętam, jak wychodziłem po operacji ze szpitala, to lekarz kazał mi na siebie uważać i przez pół roku nie dotykać kierownicy, a ja na drugi dzień wsiadłem w samochód i pojechałem do Warszawy. Operacja była w lutym, a ja całą wiosnę jeździłem ciągnikiem i przyskałem drzewa. Nie było to rozsądne, ale byłem wtedy cztery lata młodszy (śmiech), a poza tym uważałem, że pracownik nie robi tego tak dobrze jak ja.

Teraz już bym tak nie ryzykował, zresztą dostałem nauzkę. Jak skończyłem opryski, wsiadłem na inny ciągnik z wielką łychą ładowacza z przodu, żeby przetrzucić trochę ziemi. Kierownica była bez wspomaganie

i stawiała taki opór, że jak nią zakręciłem, to poczułem ból w klatce piersiowej, takie pieczenie, że przez chwilę myślałem, że rozszczępiły mi się druty by-passów.

Ja nie żartuję. Mój kuzyn, do którego wożę jabłka w Tarczynie, mówił mi po operacji: „Wujek, ty uważaj, jak wskakujesz na ciągnik. Mój kolega po takiej operacji, jaką miałeś, złapał za kierownicę, wskoczył, rozszczępił się i drugi raz musieli go zszywać” (śmiech). Teraz więc uważam.

– Tak uważa – wtrąca pani Jadwiga – że nadal jeździ na pielgrzymkę do Częstochowy,

Pielgrzymki

– Trzydzieści trzy razy byłem na pielgrzymce do Częstochowy. W tym roku też. Wsiadam na ciężarówkę i jadę z bagażami pielgrzymów. Kiedy pierwszy razjechałem z pielgrzymką, moja grupa liczyła sześćdziesięciu



fol. W. Środon



pielgrzymów. W tym roku było ich dwustu pięćdziesięciu. Jest to jedyna grupa, w której z roku na rok przybywa pielgrzymów.

To są tak zwani flagowcy. Idą z różnymi flagami, ale podstawowa jest biało-czarno-czerwona. Modlą się tylko po łacinie. U nas nie ma żadnych śpiewów, tańców, skakanek, grania w czasie przerw w marszu. Jest tylko modlitwa, różaniec, cisza i skupienie.

Nie rzucają się do samochodu po bagaże, gdy tylko docierają na miejsce przerwy, a dopiero po modlitwie idą po bagaże, rozstawiają namioty i szykują posiłek. Wszystko robimy sami. Kupujemy jedne produkty w marketach, a po drodze dokupujemy to, co trzeba na bieżąco. Ja przez tyle lat poznałem dobre masarnie i piekarnie i dodatkowo zajmuję się zaopatrzeniem.

Wielu pielgrzymów, szczególnie ze stron Wrocławia, pyta mnie: „Powiedz, bracie, dlaczego ja nigdy w życiu nie jadłem tak dobrego jedzenia, jak na pielgrzymce?”. A ja wiem, że prawdziwy chleb zaczyna się w piekarniach od Nowego Miasta nad Pilicą. Najlepszy jest jednak w Opocznie. Tam robią najlepsze wyroby masarskie. Są trzy masarnie konkurujące ze sobą i robią cuda.

Każdego roku około piątego sierpnia ruszam na pielgrzymkę. Dawniej pielgrzymka ruszała z kościoła Świętej Anny, teraz ze Świątyni Opatrzności. Mamy na pielgrzymce do dyspozycji kuchnię wojskową, co jest wielkim udogodnieniem. Spalisz dwa wiadra drewna i zagotujesz wodę, której jest pod dostatkiem. Na pierwszych pielgrzymkach można było spalić furę drewna, palić pod kotłami całą noc i wody się nie zagotowało, bo kotły były ustawiane na kamieniach, a jak wiał wiatr, to całe ciepło wywiewał.

W czasach słusznie minionych, władze potrafiły pod Częstochową hydranty na czas pielgrzymki zakreślić, żebyśmy nie mieli skąd pobrać wody. Korzystaliśmy wtedy z pomocy straży pożarnej lub mleczarni. Pamiętam, jak jednego roku w mleczarni w Belsku dali nam beczkę do wody, w której mieściło się sześć tysięcy litrów. Zagotowali wodę i wsypali do niej kawę i do pielgrzymów przyjechała gotowa, gorąca kawa.



Ksiądz Cezary

– Mamy dwoje dzieci. Córkę i syna. Żadne z nich nie będzie prowadziło gospodarstwa. Córka studiowała matematykę na Uniwersytecie im. Kardynała Stefana Wyszyńskiego, ale poświęciła się macierzyństwu. Przed urodzeniem trzeciej córki obroniła tytuł magistra zarządzania. Ma wspaniałego męża, czwórkę dzieci i zajmuje się ich wychowaniem.

Syn jest księdzem, profesorem, wykładowcą na Akademii Sztuki Wojennej, dawniej Akademii Obrony Narodowej w Rembertowie. Teraz obchodziliśmy piętnastolecie jego kapłaństwa. Dlaczego został księdzem? Pewnie jeden Bóg to wie. Zaskoczeni jego decyzją byli nauczyciele i nie ukrywam, my także – mówi pani Jadwiga.



– Miał w szkole bardzo dobre oceny, był przystojny i miał w klasie maturalnej największe powodzenie u dziewcząt. Chodził do liceum im. Edwarda Dembowskiego w Warszawie. Pierwszą osobą, która nas zapytała, co się dzieje z Cezarym, była jego wychowawczyni. To było w trzeciej klasie liceum, kiedy nam powiedziała, że Cezary nie pisze wypracowań z polskiego, tylko z matematyki łapał dwójki, bo zapamiętały uczył się historii i polskiego. Już coś tam w tej głowie pewnie mu świtało.

Pamiętam, mieszkaliśmy jeszcze w starym domu i rano, o szóstej przechodziliśmy przez jego sypialnię, a on już palił światło i czytał brewiarz. Który siedemnasto- czy osiemnastoletni chłopak czyta brewiarz?

Do szkoły szedł na skrót, by rano wejść do kościoła Najświętszej Maryi Panny Królowej Świata na Opaczewskiej i prosić Pana Boga, żeby kiedyś pozwolił mu stanąć po drugiej stronie ołtarza i odprawiać mszę. I Pan Bóg, jak widać, spełnił jego prośbę.

Tak więc mamy dwoje dzieci, ale żadne z nich nie będzie prowadziło gospodarstwa. Z biegiem lat zaczniemy pewnie gospodarstwo sprzedawać. Zostawimy tylko to, co było ojcowizną. Za kilkanaście dni trzeba będzie zrywać jabłka. Mamy kilka odmian. Szampion, Princ, Mutsu, Jonagold, Idared, Decosta i Gloster. Jest co zrywać, a człowiek niestety coraz starszy. ■





PIEKIELNY BIEG



To był prawdziwie piekielny bieg, ale trzeba przyznać, że w tym piekle było bardzo wesoło. Właściwie uśmiechy nie schodziły z twarzy zawodników, a do tego obowiązywała pewna prawidłowość – im ktoś bardziej wymazany, tym bardziej szczęśliwy.

Na piekielnym biegu nie mogło zabraknąć ognia i lodowatej wody. Lodowata woda po takich upałach, jakie były jeszcze w przeddzień imprezy? A jednak. Specjalne służby dowoziły skruszony lód, aby zapewnić ekstremalne warunki konkurencji. Tu liczyła się siła i charakter. A kiedy siły powoli opadały, charakter nie pozwalał przerwać konkurencji, a jedynie wybrać mniej ekstremalne rozwiązania. Ale po kolei.

Na terenach Mysiadła pod koniec września odbył się RUNMAGEDDON. Na starcie stanęło tysiące chętnych, by na trasach różnej długości, od jednego kilometra dla dzieci, do dwunastu kilometrów dla dorosłych, pokonywać przeróżne przeszkody. Były rowy z wodą, były ściany do wspinaczki i liny, by łatwiej na te ściany wejść. Kto nie miał siły w rękach, mógł w ramach karnych punktów wykonywać pompki lub zamknąć się w zamrażarce, na szczęście odłączonej od prądu. Były zmyślnie poustawiane opony, między którymi trzeba było się dosłownie prześliznąć i tylko dzięki wsparciu znajomych, niektórzy nadal w nich nie siedzą. Zresztą łatwiej było je pokonać, kiedy sportowy strój oblepiało świeże błotko, bo mówiąc krótko, poślizg był tutaj sprzymierzeńcem. Na piekielnym biegu była też grupa rugbyistów, którą trzeba było ominąć, skok przez płonące polana, biegi z workami piachu,

wiszące drabiny pnące się ku górze prosto do dzwonka i skoki do rowów pełnych wody z mniejszej lub większej wysokości.

Trzeba przyznać, że w przypadku wodnych przeszkód zawodnicy dzielili się na dwie grupy. Tych, którzy postanowili po prostu wpaść do wody na tak zwaną bombę i tych, którzy mieli jeszcze fantazję na widowiskowe salto.

Kibice cieszyli się nie mniej niż zawodnicy, bo przyjemnie się patrzy, kiedy inni się męczą.

Oddzielną grupę stanowili rodzice maluchów, które startowały na trasie przygotowanej specjalnie dla dzieci. Tu też były opony, rowy z wodą i ściany do wspinaczki, ale było też silne wsparcie ze strony organizatorów, aby każdy malec mógł pokonać całą trasę bezpiecznie, przy gorących okrzykach rozentuzjzmowanych rodziców. A potem były już tylko ogrzewające koce, zmiana mokrych skarpetek i ciepłe koszuli.

„Podażaj własnymi drogami”, „Kto jest zwycięzcą?” „Na pełnym gazie”, „Mocniej, szybciej, bardziej”... – na RUNMAGEDDONIE każdy mógł wybrać swoje hasło i zrobić sobie pamiątkowe zdjęcie.

Zawody trwały przez dwa dni i trudno uwierzyć, jak wielu chętnych przyciągnęły. W tamten weekend rozpoczęła się kalendrzowa jesień i były to pierwsze chłodniejsze dni po upalnym lecie. Na szczęście atmosfera była gorąca, muzyka rozgrzewająca, a sportową rywalizację zdominowała świetna zabawa. Organizatorem imprezy był urząd naszej gminy.



WSPÓLNE BIESIADOWANIE

PAJDA ZE
SMALCEM

WIEJSKA
SZYNECZKA



To już stało się gminną tradycją, że tuż przed rozpoczęciem szkoły, gdy po wakacjach zostają tylko wspomnienia, mieszkańcy Lesznówoli spotykają się, by razem biesiadować. Przy drewnianych stołach zasiadają całe rodziny, znajomi i sąsiedzi. Z roku na rok karta z menu staje się coraz dłuższa, a ziemniak pozostaje tylko symbolicznym akcentem całej imprezy.

Nie ma co ukrywać, biesiada do lekkich nie należy, ale przed rozpoczęciem szkolnych zmagania i na pocieszenie po zakończonym urlopie mała rozpusta nie zaszkodzi. Tu każdy znajdzie coś dla siebie, a oprócz wędlin panie serwowały także ciasta własnej roboty z sernikami, babeczkami i szarlotką na czele. Dla chętnych były też zapiekanki, kebab, kolorowa wata cukrowa i karmelowa pokusa w postaci wielobarwnych lizaków z naturalnych aromatów i barwników.



Wiejska szyneczka z tłuszczkiem, swojska kielbaska i pyszna paszтетowa. Do tego pajda prawdziwego chleba ze smalcem i kiszony ogórek. A poza tym karkówka prosto z grilla, bigos, soczyste burgery i ziemniaki znad ogniska. Mieszkańcy gminy Lesznówola po raz jedenasty biesiadowali i piekli ziemniaki.

Były tańce na deskach, kolorowe namioty z mniejszymi i większymi skarbami dla dzieci, sztuki malarskie dla najmłodszych i nieco starszych oraz ekologiczne zwierzątka z marchewki, pietruszki i innych warzyw. Panowie dzielnie podrzucali drzewo do wielkiego paleniska, a panie zawiąły w sreberka ziemniaki, które na tym palenisku nabierały dymnego posmaku.

Wszystkim, którzy dali się ponieść kulinarnej pokusie i mieli odwagę na koniec spojrzeć prawdzie w oczy, fundowano darmowe mierzenie tkanki tłuszczowej w organizmie razem z obrazowym przedstawieniem wszystkich skutków nadwagi od udaru mózgu rozpoczynając. Stoisko do najczęściej odwiedzanych nie należało, ale mimo wszystko odważni się znaleźli, choć częściej były to panie niż panowie. Jakie wnioski wyciągną, trudno powiedzieć.

Ognisko po wspólnej biesiadzie wygasło późno w nocy, ale za rok zapłonie ponownie. ■



Fasolka nadzwyczajna

Jedna jest karłowata i blisko trzyma się ziemi, inna pnie się wysoko ku górze i słońcu. Może obrastać płoty, siatki i altany albo po prostu łapać się wysokiej tyczki. A kiedy już dobrze chwyci się podpór, najpierw zakwitnie, a potem wypuści piękne, długie strączki, które przybiorą barwę żółci, zieleni lub fioleto.

Fachowo nazywana jest fasolką zwykłą, ale dla jej amatorów jest po prostu nadzwyczajna. W plątaniu zielonych liści stopniowo dojrzewa w ciepłych promieniach. Dobrze przygotowana pozostanie chrupka i jędrna. Doskonale nadaje się do mrożenia, choć najlepiej smakuje zaraz po zerwaniu. Wtedy ma ten najładniejszy, delikatny zapach. Świetnie spełnia się w roli głównego bohatera sałatek, zup i przystawek. I choć fasolka szparagowa najczęściej gości na naszych stołach w towarzystwie rozpuszczonego masła i tartej bułki, to my podpowiadamy jeszcze kilka innych przepisów na jej zastosowanie. Przepiórcze jajka, smażone kurki czy przyrumieniony boczek jak się okazuje, też mogą stworzyć z nią zgrany zespół.

ZUPA Z FASOLKĄ JAJKIEM I BROKUŁAMI NA MLECZKU KOKOSOWYM



SKŁADNIKI

około 200 g fasolki szparagowej (może być zielona i żółta), 2 garście szpinaku, litr bulionu, 100 g brokołu, pół szklanki mleczka kokosowego, jedno jajko, makaron (najlepiej ulubiony do zup), 2 łyżki soku z cytryny, sól, pieprz, curry, kurkuma

Fasolkę oczyść, odetnij końcówki i potnij ją na mniejsze kawałki. Zagotuj bulion i włóż do niego fasolkę oraz podzielony na małe różyczki brokuł. Dodaj pół łyżeczki czerwonego curry. Gotuj 10-15 minut, aż warzywa staną się miękkie, ale nie rozgotowane. Teraz dolej pół szklanki mleczka kokosowego, sok z cytryny i dwie garście szpinaku. Dopraw solą i pieprzem. Wszystko gotuj przez około 2 minuty. Ugotuj makaron w osolonej wodzie. Dodaj pół łyżeczki kurkumy, by nabrał złotego koloru. Ugotuj jajko na półmiętko, tak, by po przekrojeniu środek pozostał lekko lejący. W miseczce ułóż makaron, zalej zupą, a na wierzch połóż połówkę jajka.



SKŁADNIKI

dwie garście fasolki szparagowej żółtej, bułka korzenna, ząbek czosnku, tyle jajek przepiórczych, ile grzanek chcesz zrobić, 2 łyżki oliwy z oliwek, dwie garście szpinaku, sól i pieprz

Fasolkę ugotuj w osolonej wodzie i odstaw na bok. Szpinak dopraw solą i pieprzem i podsmaż delikatnie na oliwie. Bułkę pokrój w kromki i piecz na patelni. Kiedy będą jeszcze gorące, posmaruj je ząbkiem czosnku. Na patelni przygotuj sadzone jajka. Teraz przełóż jajko na grzanek. Na wierzch każdego połóż kilka fasolek i podsmażony szpinak. Jeżeli poszczególne składniki zdołały już wystygnąć zanim złożyłeś całość, włóż wszystko na chwilę do rozgrzanego piekarnika.

GRZANKI CZOSNKOWE Z FASOLKĄ SZPARAGOWĄ I SADZONYM JAJKIEM



SKŁADNIKI

50 g fasolki szparagowej, dwie garście szpinaku i dwie mieszanki różnych sałat, mała żółta cukinia, cztery jajka przepiórcze, kilka plasterków wędzonego boczku, sól, pieprz

SOS: 2 łyżki soku z cytryny, 4 łyżki oliwy, sól, pieprz

Sałatę opłucz i rozłóż na talerzu. Dodaj umyte liście szpinaku i wymieszaj. Ugotuj fasolkę w osolonej wodzie, odcedź i przełóż na sałatę. Cukinię potnij na 4 centymetrowe słupki i obsmaż na patelni. Dodaj do sałaty. Na tej samej patelni usmaż pocięty w mniejsze kawałki boczki. Odłóż na talerzyk. Usmaż sadzone jajka przepiórcze. Przełóż na sałatę. Obsyp przyrumienionym boczkiem. Całość oblej sosem, który powstanie z wymieszanego soku z cytryny, z oliwą, solą i pieprzem.

SALAATKA Z FASOLKĄ, JAJKIEM I BOCZKIEM



SALAATKA Z FASOLKĄ I KURKAMI

ROLADKI Z KURCZAKIEM I FASOLKĄ SZPARAGOWĄ

SKŁADNIKI

100 g fasolki szparagowej, pierś z kurczaka, sałata rzymska, mała cukinia, marchew, seler naciowy, kilka gałązek pietruszki, opakowanie papieru ryżowego

SOS: dwie łyżki majonezu, łyżka jogurtu, sok z cytryny, sól, pieprz i szczypta curry

Fasolkę ugotuj w osolonej wodzie. Marchew pokrój na słupki i ugotuj na półtwardo. Łodygę selera naciowego obierz z włókien, pokrój na słupki i zblanszuj. Obierz cukinię i pokrój na słupki. Pierś z kurczaka pokrój na słupki i usmaż. Zmocz papier ryżowy. Ułóż na nim po dwa liście sałaty. Na nich wzdłuż na środku układaj po kilka kawałków kurczaka, marchwi, kilka strączków ugotowanej fasolki, gałązkę pietruszki, słupki z selera i cukinii. Delikatnie zwiń wszystko w rulon i przekrój na pół. Podawaj z sosem.



SKŁADNIKI

500 g fasolki szparagowej (może być w dwóch kolorach), dwie garście świeżych kurek, garść włoskich orzechów, 50 ml słodkiego białego wina, 2 łyżki oleju rzepakowego, sól i pieprz

Fasolkę umyj, odetnij końce i wrzuć do gotującej się osolonej wody. Gotuj przez 10-15 minut, aż będzie ugotowana, ale wciąż chrupka. Odcedź. Kurki oczyść, delikatnie opłucz, większe przekrój na pół. Usmaż na rozgrzanym oleju. Kiedy odparuje puszczone przez grzyby wodę, dodaj białe wino i smaź jeszcze przez dwie minuty. Teraz dodaj do grzybów fasolkę. Dopraw solą i pieprzem. Posyp uprażonymi orzechami włoskimi.





W dzikie wino zaplątani

*„Bo w ogrodzie rośnie pnącze,
w dzikim winie świat się plącze,
bo w ogrodzie dzikie wino,
kto je tutaj siał?”*

Marek Grechuta